



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GEÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Po każdym zbyt wesołym karnawale wielki post wydać się musi jeszcze bardziej postnym dla rozbawionych rzesz, które muszą odsiedzieć to przez dni czterdzieści, co przez sześć tygodni przeskakały.

Wbrew przypuszczeniom, zapusty tegoroczne ożywiły się nadzwyczajnie, jakgdybyśmy nie przeszli najgłodniejszego z siedmiu lat nieurodzajnych, jakby nam pieniędzy i humoru starczyło więcej nad potrzebę.

Bawiono się tak dobrze, tak dużo, tak ochoczo, tupano z taką werwą i fantazyą w tańcu, jakgdyby chciano zdeptać móle, co nas gryzą i zagłuszyć wszystkie piski powszechnej biedy.

Gdyby ktoś tylko z pozorów miał wnioskować, mógłby przyjść do przekonania, że dzieje się u nas jak za najlepszych czasów, że chleba mamy w bród, złota po pas, animuszu ponad czuprynę i że wszystko w porządku.

Zupełnie inaczej wydaje się świat w blaskach kinkietów na sali balowej, przy dźwiękach muzyki, przy illuminacji pięknych oczu, roziskrzonych jak brylanty, i brylantów dużych, jak oczy, przy szeleście jedwabów, koronek i wachlarzy, — zupełnie inaczej!.. ale po za salą balową w mrokach i ciemnościach, bez sztucznego oświetlenia, rzeczywistość jest inną, pozory nikogo złudzić nie potrafią.

Bieda i bieda, choć jej niby nie było widać w karnawale tegorocznym.

Gdzie uszy puścić, wszędzie słyhać skargi na „złe interessa“, na zastój, na brak gotówki, na małe dochody i na trudność odebrania swoich na-

leżytości; jednostki i całe instytucje kręcą bicze z piasku i przelewają z pustego w próżne.

Gdybyśmy z kredką w rękę żyć mieli i obliczać się skrupulatnie z naszymi wydatkami, pokazałoby się, że najzamożniejsi powinni się ograniczyć tylko do swoich potrzeb, średnio zamożni — oszczędzać z własnym nawet uszczerbkiem, niezamożni zaś — żyć wodą i powietrzem, oile-by to potrafili.

Statystyka wprawdzie pociesza nas, że mimo wszystko rok zeszyły był przynajmniej dla przemysłu Warszawy korzystniejszym od lat poprzednich, bo przybyły jej od roku 1886 go w warsztatach rzemieślniczych 6.624 osoby a produkcja zwiększyła się o siedm milionów rubli.

Przecięciowo tedy warszawski rzemieślnik zarabiał na swoje utrzymanie 330 rs. rocznie.

W przemyśle fabrycznym zauważyć się dał również postęp, zawsze według zapewnień statystyki; mamy bowiem w Warszawie o pięć fabryk więcej i więcej o 1.540 robotników, a produkcja podniosła się prawie o trzy miliony rubli.

Reasumując to wszystko, okazuje się, że ogółem wszystkie zakłady rzemieślnicze i fabryczne zatrudniały u nas 14% całkowitej ludności miasta, t. j. 64.414 robotników, i wyprodukowały wyrobów za 73.298.535 rubli.

Wzrost ten nie jest bardzo pomyślnym i korzystniejszej przedstawia się w rozwoju drobnego, niż wielkiego przemysłu, który dużemi kapitałami obraca.

Zresztą, Warszawa nie stanowi całego kraju; stosunki jej, jako centralnego ogniska wszelkiego ruchu, muszą się poniekąd korzystniejszej przedstawiać, ale z tego ogólnych wniosków co do dobrobytu naszego wyciągać nie należy.

Z całego kapelusza na głowie nie można bowiem wnioskować o całej reszcie ubrania; często nogi tkwią w podartych butach u dołu, gdy u góry paradytuje nowy kaszkiet, z piórkiem nawet, dla fantazyi zatkniętym.

Na pocieszenie strapiionych ziemian, agronomowie przepowiadają na ten rok przynajmniej dobre urodzaje, oile aura nie wypłata nam znowu jakiego figla na wiosnę. Wyjątkowo łagodna i zdrowa zima, według zapewnień słynnego meteorologa i klimatologa Falba, wytrzyma już do końca bez wielkich mrozów i śniegów; to szczęście, inaczej trudno-by ją było przetrwać, na wsi szczególnie, gdzie człowiek niemal sobie samemu od ust odejmować musi, aby bydlę głodu nie cierpiało.

Okropne skutki nieurodzaju, u nas jeszcze nie dały się do tego stopnia we znaki, jak np. w Galicji, gdzie robotniczy inwentarz zdziesiątkować musiano dla braku paszy.

Mnóstwo koni wybito, bo nie było ich czem żywić przez zimę; zbliżająca się zaś wiosna widmem głodu straszy i ludzi w tym kraju, który ze smutną ironią nieboszczyk Lam nazywał „Golicją i Głodomoryą“ zamiast Galicyą i Lodomeryą.

Piękny dowód uczuć humanitarnych dały tam kobiety wobec klęski uciskającej stan najbiedniejszego. Istniejące we Lwowie Towarzystwo oszczędności, założone i utrzymywane przez samą płeć piękną, postanowiło z funduszu gromadzonych na drodze dziesięciocentowych składek, ofiarować 1.000 guldenów ludności głodem zagrożonej i przeznaczyło na tensam cel wszystkie swoje dochody tegoroczną. Jest to zaledwie kropla w morzu, ale inicjatorce z wielką wiarą w powodzenie swoich zamysłów urządzają nadto w Marcu bazar przeważnie wyrobów kobiecych, na rzecz głodnych, i powiadają sobie: „Niech igła i szydełko zwyciężą tam, gdzie w tym roku zawiodły: lemiesz i kosa. I niech drobne nasze datki będą, jak owo ziarno zboża, które choć drobne — świat żywi; niech będą, jak nieznaczące krople wody, z których się tworzą Oceany, głębokie rzeki i głośne wodospady!“...

Niejedną pełną miarkę dałoby się zbierać z takich ziarenek, gdyby każdy pośpieszył dorzucić je do innych, ale tylokrotnie stwierdziliśmy ten fakt, że łatwiej o dużą, hojną, zadziwiającą niekiedy swoim ogromem ofiarę, niż o drobne, ale liczne datki, składane w poczuciu wspólnego obowiązku dla najbardziej nawet humanitarnych celów.

Gdyby taka ofiarnicza solidarność była u nas możliwą i dała się choć raz rozbudzić we wszystkich warstwach, moglibyśmy dokonać dzieła prawdziwej zasługi ogólnoludzkiej i społecznej. Oto np. w tym czasie, korzystając z okazyj, moglibyśmy zebrać fundusz na przywrócenie tak zwanego „żłobka“ dla niemowląt, których los zatarzał sercem całej Warszawy od czasu wykrycia strasznej, bezprzykładnej niemal zbrodni w dziejach kryminalistyki.

Słyszeliście zapewne o rzezi niemowląt przy ulicy Śliskiej, którą wykrył pożar jednego z drewnianych domków w tej dzielnicy miasta?

Na facyatce, zamieszkiwanej przez istotną wiedźmę, nazwiskiem Maryanna „Skublińska“, znaleziono wśród zgłiszcz poddasza kilka trupów dziecięcych; dreszcz zgroy przeszedł zebrany na miejscu pożaru tłum, kiedy strażak, który to odkrycie zrobił, zaczął liczyć martwe ciała niemowląt: „Jedno, dwoje, troje, czworol.“ i tak do siedmiu.

Okazało się, że lokatorka poddasza była „fabrykantką aniołków“, która w towarzystwie córki i dwóch sióstr młodszych, trudniła się najwstrętniejszym procederem i założyła poprostu mordownią dzieci, oddawanych jej pod opiekę i na wykarmienie.

Natrafwszy raz na ślady zbrodni, jak po nitce do kłębka, wykryto cały szereg okrucieństw, na wspomnienie których włosy stają na głowie.

Całe mieszkanie Skublińskiej było składem trupów, przechowywanych w ciągu pięciu miesięcy na stryszku, pod łóżkiem w szmatach i łachmanach, w komórce zagrzebanych, w jamach muru ukrytych.

Znaleziono ogółem dwadzieścia trzy martwe ciała zagłodzonych czy gwałtowną śmiercią zgładzonych dzieci!.. Z tymczasowego śledztwa okazało się, że Skublińska systematycznie swoje straszne rzemiosło prowadziła od dłuższego czasu; dopóki miała współnika, który jej dostarczał sfałszowanych aktów zejścia, dopóty usmiercone niemowlęta grzebała na cmentarzu Brudzieńskim, pokilkoro w jednej trumnie, wynoszonej tam z brutalnością zewwierzconej natury przez usłużnego wyrostka, niejakiego Ludwika Wiata.

Kilkunastoletni ten chłopak przyznaje, że wyniósł chyba z pięćdziesiąt „umarłaków“ na mogiłki z polecenia swojej chlebobawczyni; za to był licho płatny i żywny, a sypiał pod łóżkiem, pomiędzy ukrytymi trupami dzieci!..

Kiedy się słyszy o tem wszystkim, o szczegółach potwornej zbrodni, zakrawającej na straszną bajkę, wysnutą z fantazyi o upiorach, mrowie przechodzi po kościach i uwierzyć się nie chce, aby człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Boskie, mógł być zdolnym do takiego zdzierzenia, wyrzucia się z wszelkiego sumienia, z wszelkich uczuć, wszelkiej moralności, wszelkich instynktów ludzkich.

Jakież okropny być musi upadek tych istot, które mogły obojętnie zabijać niemowlęta, patrzeć na ich konanie, na ich męczarnie z głodu, słuchać ich jęków i wśród swoich ofiar żyć swobodnie w tym trupim domu, w którym śmierć gościła nieustannie, zapraszana na współniczkę ohydnych rzemiosła!.. Jakaż zdzierzała natura leśnych bestyi była w tych kobietach, które, będąc same matkami, mordowały bezlitośnie cudze dzieci i nie wahały się spać pod jednym dachem z trupami niemowląt, znosić je pod swoim łóżkiem, nad głową, za ścianą, — bez wyrzutów sumienia, bez wrodzonego wstrętu do zgnilizny, bez lęku w nocy i odrazy w dzień.

I wszystko to dla marnego zarobku, który nawet nędzy w tej ohydnej norze nie usuwał, nawet utrzymania dostatecznego nie dawał!..

Oprócz Skublińskiej natrafiono podobno na drugą jeszcze mordownią, na taki szlachtuz dziecięcy przy ulicy Pańskiej, gdzie niejaka R. przy-

mowała również niemowlęta na wykarmienie i morzyła je głodem.

Placze i piski nieszczęsnych ofiar zagłuszać miało skowyczenie szczeniaka, umyślnie trzymanego w mieszkaniu dla odwrócenia podejrzeń w sąsiedztwie i nadania pozorów, jakoby psiak owe głosy żalosne wydawał.

Rozpoczęte śledztwo wyjaśni dopiero niedostępne jeszcze tajniki zbrodni, która grozą przejęła całe miasto i oburzyła do głębi naturę ludzką.

Sprawa ta odsłania ropiący się oddawna wrzód demoralizacji i okrutnego wyzysku, którego ofiarą padają najczęściej nieszczęśliwe istoty z proletariatu i klasy pracującej, zbłąkane na drogę występku ubogie wyrobnice, służące, i t. p., matki bez zaszczytnego prawa do tego tytułu.

Nastrecza się tu sama z siebie kwestya wielkiej wagi, nad którą moralisci i socyologowie ła mali sobie oddawna głowę: mianowicie kwestya organizacji i istnienia domu podrzutek.

Od czasu zniesienia u nas tak zwanego „żłobka“, zamiast umniejszyć, powiększyły się tylko zbrodnie podrzucania, dzieciobójstwa i wyzysku ze strony pokątnych „opiekunek“ i „doradczyń“ w rodzaju Skublińskiej.

Nie samem formalistycznym zagrządzaniem drogi do grzechu i występku powstrzymuje się ulomną naturę ludzką od wstępowania na nią: potrzeba moralnie wpajać wstręt i odrazę do złego, potrzeba wszczepiać poczucie wstydu i hańby, rozwijać instynkt zachowawczy przed zepsuciem, wpływać na charakter, na umiłowanie cnoty, prawdy i prawości w młodem pokoleniu, — jednym słowem: starać się o moralniejsze wychowanie dzisiejszych ludzi, o zdrowsze dusze i zdrowsze ciała.

Takie tylko środki poprawienia obyczajów mogą mieć praktyczne rezultaty; inne reformy, przy pozostawieniu wszczepionego jadu demoralizacji w organizmie społecznym, na wiele się nie przydadzą.

Wyrodne, czy nieszczęściem zgnębione matki, nie będą podrzucały dzieci w żłobek szpitala, mając ten środek zatarcia swej winy utrudniony, ale to im nie przeszkodzi porzucić dzieci swych na bruku, lub pod cudziemi drzwiami, albo oddawać je na „troskliwą opiekę“ i na „garnuszek“ do takich fabrykantek aniołków, które dla miłego grosza gotowe są do cichych mordów w ukryciu.

Sensacyjny proces takiej Skublińskiej nie powinien pozostać bez skutków na przyszłość; w tym względzie godzę się najzupełniej na zdanie *Gazety Polskiej*, która pierwsza w naszej prasie zabrała głos i wobec wykrytych faktów spytała: co postanowi teraz dozór Domu podrzutek przy szpitalu Dzieciątka Jezus, jak się zachowają stowarzyszenia filantropijne?

„Gdy na progu biura domu podrzutek zjawi się drżące z osłabienia matka — czytamy w artykule p.t. „Po zbrodni“ we wspomnionem piśmie — matka, której rozpaczliwe warunki nie pozwalają zachować przy sobie swojego niemowlęcia, czy zawsze może się spodziewać tam pomocy?... Jeżeli nie posiada książeczki legitymacyjnej i świadectwa z cyrkułu o rocznym przynajmniej pobyciu w Warszawie, dziecko jej nie znajdzie tu pomieszczenia: znajdzie je tylko u Skublińskiej i jej podobnych Meger.

„Są instytucje pomocozemu traktowane w naszym mieście; skarbonki domu podrzutek np. najslabiej bywają zasilane przez ogół, chętny do ofiar przy każdej innej sposobności. Można nawet powiedzieć, że dom podrzutek od dziesiątków lat jest instytucją zapomnianą przez wszelkich ofiarodawców.

„Przywrócenie żłobka w domu podrzutek do składania dzieci opuszczonych przez matki, lub zmiana ustawy co do żądania legitymacji od zgłaszających się matek, zwrócenie ofiarności publicznej ku powiększeniu środków tej instytucji, aby usunąć z jej murów widmo głodowej śmierci dla niemowląt: oto sposób zapobiegający szerzeniu się zbrodni, których ohyda dreszczem przejmuje cały świat cywilizowany...

„Mamy wprawdzie filantropijne towarzystwo pod firmą „Macierzyństwa“, któreby mogło w znacznej części złemu zarządzić, gdyby posiadało więcej funduszków, więcej środków rozwoju i byt

lepiej zabezpieczony; ale jak na instytucję, istniejącą tylko z ofiarności przygodnej, ma ono i tak znaczne ciężary do dźwignia, bo nie dosyć, że pomoc daje ubogim matkom podczas słabości, lecz opiekować się musi dziećmi, których liczba z każdym rokiem wzrasta, a wraz z nią koszt utrzymania i wyżywienia wychowawców, oddawanych mamkom do wykarmienia na wsie“.

Instytucje, jak ludzie, niestety, doznają u nas względnej sympatii i doświadczają zmian usposobienia publiczności, która zapala się szybko, ale i szybko w swoich affektach ostygają; dzisiaj gotowa poświęcić wszystkich i wszystko dla nowego ulubieńca lub ulubienicy, a jutro odwraca się od nich obojętnie i zapomina głucha na wszystkie zaklęcia i wzywania.

Doświadczyło tego zmiennego wiele losu faworyzowanych swego czasu instytucji, zakładów, stowarzyszeń, doświadczą go od lat kilku studencka osada poprawcza dla małoletnich przestępców.

Coraz trudniej przychodzi jej teraz zbierać potrzebne na swe utrzymanie fundusze, coraz silniej musi kołatać do publicznej ofiarności, coraz częściej przypominać się ogółowi, a niestety, coraz mniej znajduje posłuchu i poparcia.

Były czasy, kiedy prelekcje na korzyść Osad rolnych zapełniały calutką salę ratuszową; obecnie ta sama sala na odczytach świeci najczęściej pustkami, a Towarzystwo do żywego słowa, które rozsypuje z katedry, musi jeszcze dopłacać gotówką na pokrycie niedoborów.

Mimo wszystko, zarząd nie traci wiary, że potrafi choć trochę dawnej tradycyi odczytowej wskrzesić i nie daje się zniechęcać trudnościami i niepowodzeniem; co rok szykuje nowy zastęp prelegentów, co rok urządza nową seryą odczytów i wabi słuchaczy tematami, dopóki nie będzie zmuszony okolicznościami zaniechać trudów i wyrzec się prelekcji zupełnie.

Wtedy, naszym dobrym zwyczajem, jak grymaśne dzieci będziemy się upominali o nie i utyskiwali na brak pouczającej i przyjemnej rozrywki umysłowej, którą dzisiaj lekceważymy sobie.

W tegorocznym poście przyrzekli przemawiać z katedry: dr Odo Bujwid „o działaniu szczepień ochronnych w chorobach zakaźnych“, dr Bronisław Dembiński, docent uniwersytetu jagiellońskiego „o upadku rycerstwa“, dr Józef Milewski, profesor tegoż uniwersytetu „o reformie prawa spadkowego w Niemczech“, dr med. Henryk Nussbaum „o cierpieniu“, kand. prawa Adolf Suligowski, adwokat przysięgły „o kanalizacji ze stanowiska ekonomicznego“, Adam Szawłowski „o głównych prądach umysłowych i filozoficznych XVIII-go wieku“, niżej podpisany zaś kronikarz *Bluszczu* „o komedjach Franciszka Zabłockiego“.

Nie wypada mi ze względu na własny udział zbyt gorąco reklamować tegorocznych odczytów, ale ze względu na instytucję i cel tych publicznych wykładów, coraz rzadszych w ostatnich czasach, pozwalam sobie zwrócić na nie bacniejszą uwagę czytelników.

O innych przyjemnych umartwieniach wielkiego postu nie wiem jeszcze; jak zawsze, muzyka swoją lwia część zagarnie; ze wszystkich spodziewanych rozkoszy dla słuchaczy najciekawiej zapowiadają się koncerty symfoniczne pod dyrekcją p. Rzebiczka, który, wróciwszy do zdrowia i do pulpitu pierwszego kapelmistrza opery, przygotowuje słynną dziewiątą symfonią Beethovena z chórami.

Co tam jeszcze zesła nam Apollo i Euterpe, przewidzieć trudno, ale bogi łaskawe zawsze na melomanów warszawskich nie zapomną z pewnością o dostarczeniu nam pięknych wrażeń.

Jako szczególniejszą sensacją dla miłośników lekkiej muzyki zapowiada reporteryja przybycie słynnej orkiestry Straussa do Doliny Szwajcarskiej, pod osobistą dyrekcją samego „króla walców“.

Będziemy mieli sezon... podrygującej Warszawy przy muzyce wiedeńskiego Orfeusza znad modrego Dunaju, bo przecież wiadoma rzecz, że piramidy egipskie musiałyby podskakiwać, gdyby im Strauss swoje walce przegrzywać zaczął.

Tymczasem słuchamy zawsze w operze Miss Russel z przydatkiem włoskiego tenora p. Salto i włoskiej primadonny Sigr. Rossini.

Co się stało z naszymi miejscowymi primadonnami?—nie umiem powiedzieć; zapomniały się gdzieś bez śladu.

W „Rozmaitościach“ mamy wznowienia i nowości dość liczne teraz, ale repertuar pożytku wielkiego z nowych nabytków nie ma; na Marzec zapowiadają nam najświeższy utwór Edwarda Lubowskiego, który już dawno sceny naszej niczem nowym nie zasilął.

Pięcioaktowa komedia jego, będąca obecnie w nauce, nosi tytuł: „Przyjaciółka żon“; znając obserwacyjny dar autora w chwytaniu typów z natury, spodziewać się można, że bohaterka jego sztuki będzie zajmującą postacią i nową w galerii niewieścich charakterów na scenie.

Z dziedziny sztuki winienem zanotować rozpisanie przez Towarzystwo zachęty malarskiego konkursu imienia Wojciecha Gersona, zasłużonego jubilatą, z nagrodą rs. 600, z terminem do końca bieżącego roku.

Tylko obrazy treści historycznej ubiegać się mogą o tę nagrodę; w gronie sędziów zasiądzie Gerson. Do konkursu dopuszczone będą dzieła utworzone w ciągu ostatnich lat trzech, które o żadną nagrodę dotychczas się nie ubiegały.

Miejmy nadzieję, że i rezultat i wyrok konkursu tego, wypadną pomyślniej, aniżeli wyniki ostatniego konkursu rzeźbiarskiego, po którym pozostała — gorąca polemika i skorupy rozbitego posągu Kurzawy.

Quis.

ZNACHOR.

przez

Maryą Rodziewiczównę.

— Gdzie Jaś?
— Posłałam go po różę do ogrodu.
— Uśmiechasz się? Co? Może ci się oświadczył..
— Oświadczył, ale wcale nie tego się uśmiecham.
— Odmówiłaś?
— Nie. Dlaczegożbym miała odmówić? Młody, przystojny, bogaty — i twój brat. Tyle doskonałości!
— Naprawdę, ty szydzisz — zły to wstęp.
— Zwykle najgorsze bywa zakończenie.
— Czego? małżeństwa?
— Nie, miłości. Powiedz — ty nie szydziłaś, idąc za męża? a teraz, wczoraj, z jakimże lekceważeniem mówiłaś o tem, — o tych złotych kajdanach, o tem świętem jarzmie, o domowego ogniska ciepłe, o łonie rodziny — o tem wszystkim właśnie, co mnie czeka.
— No, ja, to co innego.
— Dlaczego?
— Ja miałam tyle illuzji. Starszam od ciebie, i hodowana tak idealnie. Wmawiano we mnie, że świat jest z tęczy, mężczyzna — szczytem rozumu, dom — świątynią, miłość — wiecznością. Okazało się, że świat jest z piasku i sośniny, mężczyzna — istotą pełną kaprysów, humorów i zacołania, dom — placem sprzeczek i plotek, a miłość — perfumą złego gatunku, która się ulatnia, zanim się jej zapach pozna!
— Moja droga, i dziwisz się, że ja, to słysząc, traktuję oświadczyzny twego brata nachłodno? Wprawdzie nie mam illuzji: moje pokolenie pozbyło się tego ballastu; ale w każdym razie żądam czegoś.
— Czego przecie?
— No, chociażby wiecznej miłości.
— Zdaje mi się, że żądasz zatem wszystkiego razem.
— A ty w to nie wierzysz.

— Moja droga, — bywają wyjątki.
— W Średnich Wiekach bywały nawet czary.
— Ach czary! Nato nie trzeba sięgać aż tak głęboko do historii. Czary na miłość praktykują się jeszcze dzisiaj, i wcale ztąd nie daleko. O mil parę od nas, we wsi Ługi, mieszka wielki czarodziej Makar, odwiedzany przez wszystkie zawiedzione dziewczęta i zdradzane żony z okolicy.
— Moja droga! Ja do niego pojedę!
— Naprawdę. Czy cię Jaś już zdradził?
— Nie; ale, — by nigdy tego nie uczynił.
— Makar musi zatem dać dużą dozę swych ziółek.
— Więc on daje ziółka?
— Właściwie nie wiem. Nie uciekałam się nigdy do nadprzyrodzonych sposobów.
— Moja droga, kochana! To takie zabawne! Naprawdę, żeby to urządzić maskaradę! Przebierzemy się za chłopki i pojedziemy do znachora. Co on też nam powie? Czy się domyśli?
— Naturalnie — po rękach i mowie, jeśli nie po zaprzęgach i powozie.
— Nacóż powóz? Pojedziemy wozem od drew, a ręce poczernimy zlekka sadzą. Ach, otóż i pan Jan! On się także ucharakteryzuje na chłopka, przebierze się za fornała, i będzie nam woźnicą!
— Młody człowiek z bukietem róż — słuchał, zdziwiony, tego rozporządzenia, stojąc w progu pokoju.
— Mamy przedstawiać żywe obrazy? — spytał.
— Wcale nie! Pojedziemy do znachora: pan, Anielka i ja. Potrzebujemy porady.
— Od czego? Choroby leczone przez znachorów są trojakie: od wiatru, od złych oczu i od uczyni (narzucenia). Nie śmiem wspominać o kołtunie i jego rozgałęzieniach. Na cóż pani cierpi?
— Na nic z tego, coś pan wymienił. Zresztą nie jest to znachor od chorób, ale znachor od miłości.
— Od miłości?—Przeciągłe zapytał i, przykłękając, podał jej różę. — Miłość ma pani w mej osobie, u swoich stóp!
— Otóż właśnie, chcę zapomocą znachora utrzymać pana u mych stóp do końca życia!
— Panno Jadwigo, — z całą chęcią; ale to się pani znudzi.
— Bynajmniej.
— Pani zechce się ruszyć, a ja w tej pozycji kłęczącej będę zawadzał.
— Bynajmniej.
— Ja sam z biegiem czasu dostanę reumatyzmu, nie będę mógł wstać z kłęczek.
— Tem lepiej. Nie będzie pan wstawał.
— A przez ten czas mej adoracji nieustannej któż nas karmić będzie?
— Karmić! Pan myśli o jedzeniu, kiedy mowa o miłości!
— Niestety, ktoś o tem musi pomyśleć.
— Ja nie chcę, żeby tym ktosiem był pan.
— W każdym razie to znacznie skróci termin mego kłęczenia.
— Bo co?
— Bo poumieramy z głodu!
Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Po chwili jednak narzeczona wróciła do projektu.
— Ale ruszamy do Makara. Pan się przebierze za chłopka i zarządzi ekwipaż.
— Mogę zatem wstać z kłęczek?
— Może pan. Trzeba dostać u twego męża, Anielko, wóz i konie.
— Dostać u szwagra wóz i konie! — zaśmiał się pan Jan. — To się równa ósmemu cudowi świata.
— Spróbuj-no ty, Anielko.
— Ani myślę — ruszając ramionami — odparła siostra.
— Dostanę ja! — zawołała panna Jadwiga.
— Zdaje mi się, że to on idzie właśnie.
Ciężkie kroki słyhać było w dalszych pokojach i wnet tubalny głos huknął:
— Anielo!
— Jestem, — obojętnie odparła pani, nie zmieniając swej niedbałej pozy w wygodnym fotelu.
Pan domu wszedł — szlachcic wysoki i barczysty, spotałszy, czerwony jak upiór, w płóciennym kitlu i butach za kolana,

— Pić mi się chce — rzekł. — Tyle razy cię prosiłem, żebym o tej porze miał mleko albo herbatę; a tu w domu nawet wody niema!

— Zamiast mnie prosić, każ służbie — i na lokaja krzycz w razie zapomnienia.

— Coto lokaje! Mam na to żonę żebym miał wygodę!

— Mój drogi, ja ci się na służbę nie godziłam! Szlachcic, oile to być mogło, stał się jeszcze czerwieńszym. Chciał coś ostrego powiedzieć, ale obejrzał się na młodą pannę i powstrzymał.

Chustką otarł spalone, suche usta.

— Et, niema co gadać, — zamruczał, wychodząc; zdaleka znowu się odezwał, burkliwie:

— Indyki twoje i kaczki znowu mi dziś morgę pszenicy wydeptały. Skaranie Boskie!

— Indyki równie dobrze są twoje jak i moje — nie omieszkała odciąć pani Anieli.

— Nieprawda! Żeby były moje, miałyby pastucha.

— To go sobie najmij!

— To nie mój zarząd, ale twój!

— Mogę ci go ustąpić z przyjemnością.

— A i owszem! Jutro postrzelam cały drób, a dziewczki rozpędzę na cztery wiatry.

— Możesz choć na sześć!

— Mogę? Dziękuję!

Poszedł dalej i trzęsącymi się ze złości rękami zdjął strzelbę ze ściany. Mruczał w passyi, ustępując z placu walki na słowa.

— I to na chrzcie nazywają Aniele, Róże, Emilki, Łucie! Jabym je nazwał... jabym je nazwał!...

W tej chwili za jego plecami stanęła panna Jadwiga.

— Panie Stanisławie — zawołała.

Obejrzał się. Trzymała w ręku talerz purpurowych malin.

— Może to dla mnie? — spytał i uśmiechnął się.

— Dla pana.

— Dziękuję pani. Kurzu mam pełne płuca! — Tfu, taki upał!

Postawił strzelbę i polykał z rozkoszą jagody.

— Ale ja mam i prośbę do pana!

— No, no! Pewnie konia na spacer!

— A właśnie! Ale najgorszego — fornała.

Opowiedziała mu projekt. Już się śmiał szeroko, jowialnie, zupełnie udobruchany.

— Jest, jest, ślepa klacz z hreczką! Zaraz, zaraz, każę ją zaprząść do wozu, słomą wysłać drabiny, i Jaś niech wiezie. A wie on drogę do Ługów? No, nie, ja mu ją rozpowiem!

I śmiejąc się, poszedł, wypróżniwszy talerz z malinami. Pani Anieli tymczasem posłała lokaja po szafarkę, a pokojówkę po ochmistrzynię i narzekała na grubijaństwo męża.

Co prawda, w duchu żał go jej było, że spragniony, żał było też pszenicy; ale nie może przecie pozwolić się postponować i brutalizować! Dostał za swoje!

Zniesiono z folwarku i ze wsi stopy świt, spódnice, chustek i trzewików. Dużo było zachodu z wyborem.

Pani domu zgodziła się na pierwsze lepsze, ale młoda panna była w rozpacz.

Nic nie było skrajane do figury. Luźne, niezgrabne, ohydne trzewiki czyniły z jej delikatnych nóg coś potwornego. W chustce ściśle otaczającej twarz i kryjącej włosy, postarzała okropnie, brak obcasów pomniejszał wzrost. Mało brakło, by z powodów tych cały projekt nie został zaniechany; ale pan Stanisław, wezwany na sędziego, zawyrokował, że: „dziewucha dopiero teraz ładna“ i uratował sytuację. Panna Jadwiga zdecydowała się pokazać narzeczonemu, który, już oddawna gotów, siedział na furze przed gankiem.

Fura była najlepiej ucharakteryzowana — niezawodnie. Miała na sobie dziurawy półkoszek, w nim trochę słomy, niczem nie nakrytej. Klacz sędziwa, drzemiała w hołoblach, przestępując z nogi na nogę i przymykając, to jasne, to ślepe oko.

Powozący siedział bokiem na drabinie, trzymając parciane lejce i gałąź zamiast bicia.

Zupełnie się swoją rolę przejął, bo żadnych uwag nie robił na widok kobiet, tylko się uśmiechał.

Panna Jadwiga przyznała, że wygląda nieszczególnie. Okazało się w końcu, że wsiadanie na wóz wymaga dobrej woli, zręczności, a nawet zaparcia się siebie.

Pan Stanisław drwił bez ceremonii, pan Jan jeszcze nie śmiał i nawet ofiarował się z pomocą.

Nareszcie usadowiły się panie, upakowano wódkę dla znachora, pani Aniela w róg chustki uwiązała miedziaki wymagane za poradę, i pan Stanisław zawołał:

— No, ruszajcie z Bogiem! A nie schwaćcie mi kobyły.

Pan Jan cmoknął, bez skutku, użył tedy gałęzi i cugli, i klacz zaczęła ruszyć, drobniutkim truchtem, póki czuła pręt nad sobą.

Trucht ten, za bramą — gdy zamiast do stajni, skierowano ją na drogę — zmienił się w zwykłe pługowe stępo. Nie pomogły już żadne argumenty, i pan Jan, zrezygnowany, zdał się na jej łaskę.

Panna Jadwiga nie zauważyła tego zrazu. Zająta była uczeniem się od przyjaciółki miejscowego narzecza, układała sobie, co powie znachorowi. Pani Aniela została wybrana na przewodniczkę i mentorę, jako obyczajów i zwyczajów chatnych świadoma; pan Jan miał milczeć, i nawet nie słuchać, co znachor powie.

Potem powstał gwałt na odzież ciężką i szorstką, na trzewiki, na chustkę, na upał, wreszcie przyszła kolej na zaprzęg i klacz.

— Jak ten wóz trzęsie: nie umiem siedzieć na słomie. Panie Janie, proszę prędzej jechać!

Ale pan Jan nie uważał się teraz za pana Jana i odparł pochłopsku, zupełnie obojętnie:

— Ta siwa nie zwykła panów wozić, ale drwa. Nie czas, w jej latach, biegać, i nie wypada. Zresztą pan przykazywał *nie ochwycić*. Będzie isć, jak idzie!

— Miłego mamy woznicę! — śmiała się panna Jadwiga! — Mój bracie, jak się nazywacie! Poproszę pana, żeby was osztrafował.

— Nazywam się Iwan, a jak mnie panienka będzie karą straszyć, to w rów wysypię panienkę!

Zaczęły się tedy śmiechy i żarty. Przecho-dnie oglądali się na to wesołe towarzystwo. Zapewne się dziwili, że nie znają, ani parobczaka, ani kobiet. Razilo ich zachowanie się takie swobodne dziewczyny.

Czasem pan Jan próbował natchnąć dobrym humorem i siwą klacz. Gałąź opadała na jej procentowane hreczką boki. Wywoływało to machnięcie ogonem — i nic więcej. W ten sposób minęły dwie wioski.

— Czy to Ługi? — pytała panna Jadwiga.

Nie. Nie były to Ługi, ale już do nich niedaleko. Wjechało na groble, wóz trząsł, klacz się potykała. Humor gasł i przycichał. Młoda panna trzymała się drabiny, pani Aniela stękała, pan Jan szedł piechotą, pomsty niebios wzywając na takie drogi. Widok Ługów uspokoił ich znowu, natchnął uroczystą powagą.

Umilkli, bojąc się skompromitować. Poprawili odzież, spojrzeli po sobie krytycznym wzrokiem: nikt posadzenia nie powźmie.

— Jasiu, — szepnęła pani Aniela. — Pytaj ty o chatę Makara. Nam nie wypada.

Wioseczka była niewielka.

Pierwszy spotkany chłop wskazał domowstwo czarodzieja, a że szedł w tę stronę, klacz zaś i na ulicy nie przyspieszała kroku, towarzyszył im.

— Z daleka wy? — pytał.
— Z daleka — potwierdził mniemany Iwan.
— Po radę do Makara?
— Aha!

— Da radę, da! Mocny on! W tych stronach nie ma mocniejszego! — potakiwał chłop.

— Ondzie. Zajeżdżajcie na podwórze, i śmiało wstępujecie do chaty. Stary zawsze jest doma.

Na dworze już szarzało. Z okienek chaty czerwony blask smugą się słał na podwórze. W izbie gwar panował.

Pan Jan umieścił konia pod płotem, wysadził kobiety. Pani Aniela ruszyła przodem, zalecając spokój i milczenie. Weszli przez wysoki próg do sieni, w których dawalo się słyszeć krzakanie wieprza i panował swąd kiszonych buraków. Ztamtąd odnaleziono drewniany skobel u drzwi do izby, i weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus! — pozdrowiła pani Aniela.

— Na wieki — odpowiedziało z dziesięć rozmaitych głosów. Chata była pełną po brzegi — mężczyzn, kobiet, dzieci. Mężczyźni spożywali właśnie wieczerzę, czerpiąc po kolei z jednej miski i pozerając chleba ogromne porcy. Kobiety usługiwały, krzątały się koło pieca i komina, dzieci z psami swawoliły na toku. Wszyscy spojrzeli na wchodzących, a sam widocznie gospodarz, chłop już szpakowaty — spytał:

— Wy, zkąd i czego, dobre ludzie?

— My zdaleka, do Makara!

— Bat'ku! — do kogoś niewidzialnego zawołał gospodarz — do was cudze ludzie przyszli!

Nie było odpowiedzi. Wtedy któryś z młodych parobczaków powstał i na piec zajrzał.

— Może umarł! — niespokojnie rzekł i głośniejszym głosem dodał:

— *Didu*, do was ludzie! Wstawajcie!

Młoda panna rozglądała się ciekawie. Pierwszy raz była w chacie — a ta była jedną z najstarszych, bez komina. Dym ulatywał do pułapu i tam tworzył obłoki sino-szare. Sprzęty wyglądały fantastycznie, w głębi izby panowała bezbrzeżna ciemność.

Z obłoków tych i głębi wynurzył się teraz starzec biały jak gołąb, na kiju wsparty, przygarbiony, chudy.

Oczy jego tylko zachowały życie i bystrość, niezgodną z laty i zgrzybiałą postawą.

Poszedł do gości, przy proggu na ławie spoczął, na kiju się oparł i, przypatrując się badawczo, spytał:

— Czego odemnie chcecie, ludzie?

Pani Aniela skłoniła mu się z uszanowaniem.

— Zasłyszeliśmy, dziadku, że sposoby różne znacie na wszelakie biedy: więc po radę do was przyszliśmy!

— Ja nie znam, Bóg zna! — odparł dziad.

— A wam Bóg wiedzy udzielił, ludziom na pożytek.

— Od Boga bieda, od Boga rada! Co wiem — to powiem. Gadajcie, młodycy. Nie wiodą się wam dzieci? Nie lubi mąż?

— Nie lubi — czerwieniejąc pod badawczym wzrokiem, odparła.

— Nigdy nie lubił?

— Pierwej lubił.

— A teraz bije ciebie?

— Nie! — oburzyła się.

— Łaje?

— Nie.

— Inną lubi?

— Nie.

— Pije, marnuje czas i pracę, nie pilnuje chaty?

— Nie.

— No, to co ty gadasz? Mówił tobie, że nie lubi?

— Nie mówił, ale ja wiem.

— A ty dobra dla niego?

— Czemu nie dobra?

— Pokaż twoją rękę prawą.

Pani Aniela podała rękę, poczernioną zlekka sadzami. Dziad ją obejrzał, pomacał kościstymi palcami.

— U ciebie ręka miękka i brudna. To znaczy, że ty nieporządna i leniwa. To i za to ciebie mąż nie lubi. Ty jemu, nie żona w chacie, ale wiedźma. Ty-by chciała, żeby człowiek wiedźnę kochał! Ty ranki przesyphasz, ty dnie przeprośnujesz, ty o dobro jego nie dbasz, ty dostatki jego marnujesz: a chcesz, żeby on o ciebie dbał! Tak ci wasza zgoda poszła precz z chaty, tak pójda ład i dobytek, a przyjda złe nałogi i robactwo i nędza. A wszystko przez te ręce twoje niepracowite, przez te ręce nieporządne. Tak-ci ja radę dam, ale ziela nie dam — bo żadne ziele na złą babę nie poradzi, żadne ziele do złej człowieka nie nawróci.

Podniósł oczy znowu na nią — surowe, gniewne:

— Tak ty do domu wracaj, i najpierw przed księdzem a potem przed mężem się pokaj! Ręce i nogi jego ucałuj, bo on dobry, że ciebie dotąd, jak wiedźmy, nie wygonił. A potem sobie na ambit weź, żeby nie słońce ciebie, lecz ty słońce budziła, żeby ty je cały dzień wyprzedzała. Takoz na nogach wiecznie trwaj: niech z ciebie płynie znój, a nie łzy; niech ciebie, nie mąż napędza, lecz własna ochota, niech sąsiedzi nie ciebie widzą, ale twoją robotę! A te leniwe i brudne ręce na kość upracuj, a czystą wodą i piaskiem wyszoruj! Takoz trwaj bez ustanku, aż cię dzieci wyręczą na starość: wtedy twoich rąk dobrych pożalują, wtedy za twój znój tobie zapłacą! A i języka swego pilnuj, bo język złej baby, to jak ten jaskier, co na zdrowem ciele rany wyzera. Taką ci radę daję. Przyjdzie czas, że ludzie mężowi twemu nie będą dostatku zazdrościć, ale gospodyni i żony, wtedy on ciebie uszanuje, i patrząc na ciebie — sam w swoich oczach wyrosnie. Wtedy ty za duszę Makara pacierz zmów — i mąż twój niech zmówi.

Umilkł. Rodzina cała, w przeciwległym rogu izby zebrana, zachowywała się poważnie. Słuchali, ale bez żartów i uwag; na młodych nikt z drwinami nie patrzył. I panna Jadwiga i Jan stracili do żartów ochotę. Nastrój był skupiony i uroczysty. Dziad stary był tak szanowny, że pan Jan uczuł wstyd, iż go oszukują. Pani Aniela zawstydzona, czerwona, poruszona, drżącymi rękami dobyła miedziaki z chustki.

Stary ją zatrzymał.
— Schowajcie groszaki. Nie biorę za radę — ino za ziola. A ty, dziewczyno, czego chcesz?

— Ona zaręczona, i chciałaby, żeby ją jej chłopiec zawsze taksamo, jak dziś, kochał — odpowiedziała za nią pani Aniela.

Stary zamyślił się i powoli, jak przez sen, mówił:

— Ty sama nie wiesz, dziewczyno, czego ty chcesz. Wieczne kochanie jest, ale ten je dostanie, kto dostanie ziemi z bruzdy, której noga nie deptała. Tę ziemię weź i na piersi noś w woreczku z płótka, do którego się ręka nie dotykała.

— Żartujecie, dziadku — uśmiechnęła się pani Aniela.

— Nie żartuję. Ten żartuje, kto niebywałych rzeczy chce — ten głupi! Dziewczyna głupia, bo młoda. Kocha ciebie teraz chłopiec, bo na każdą dumkę Bóg lata wyznaczył, a jemu teraz czas na kochanie. On ojce ma, co za niego myślą, on matkę ma, co jego pilnuje, on gotową ma i strawę i odzież, i dach, i robi za zabawę, na schwał przed drugimi. A jak on ciebie weźmie, to jemu wstyd o kochaniu, jak błaznowi, myśleć, jemu wstyd z tobą się cackać. On wtedy człowiek, nie chłopiec, — on chaty węgieł, on pola gospodarz, on dobytku ojciec. Wtedy dumki jego mężkie będą, wtedy on jak stada przodownik, wtedy on jak gniazda samiec. Miejsce jego z ostatniego pierwszego, głos jego, nie do kochania, ale do rady. Tedy ty nie żadaż od niego kochania, ale pracy, statku, i opieki. Tobie jemu, nie kochanką być, ale pomocnicą, ale pierwszą robotnicą i najlepszą sługą. Nie ten ciebie wiecznie kochać będzie, kto ciebie żoną woła, ale ten ciebie miłować do śmierci powinien, kto do ciebie „matko“ powie! A słuchając wołania tego, ty dziewczęce, głupie dumki zabędziesz i wstydzisz się ich nawet staniesz. Bo twoje dumki wtedy będą o tych, co ci miłsi mają być od męża, od rodzonej chaty, od młodości....

— Staraj się tylko, żeby twój chłopiec ciebie, nie lubił, ale szanował; żeby do ciebie mówił nie „ty, zozulo“ ale „wy, gospodyni“; żeby przy tobie w chacie głosu ni ręki nie podniósł: żeby twego miejsca przy sobie komu innemu nie oddał, — i chlubił się dziećmi, mówiąc, że do matki podobne. Wtedy ty, w spokoju swoim na nim bezpiecznie oparta, za Makara pacierz zmów — i jemu przykaż zmówić.

Panna Jadwiga słuchała, słuchała. Rozbawiona jej twarz powlokła się zadumą i powagą. Zapomniała gdzie była i kto do niej mówił; bezwiednie postąpiła krok naprzód, i pocałowała czarną rękę dziada, na kiju opartą.

A w tejże chwili, od progu, gdzie bezczynnie stał i słuchał, przybliżył się też parobczak i wnet po dziewczynie pochylił się nad ręką starego.

Makar wtedy dopiero go spostrzegł.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał zdziwiony.

— Ja, didu, niczego, tylko wam cześć oddaje, boście mądry i dobry!

— Nie ja mądry — jedno Bóg! — odparł poważnie stary.

Pociągnięta przykładem, po chwili walki pani Aniela także dotknęła ustami spracowanych, twardych palców znachora. On jeszcze się do niej odezwał:

— Mołodyco, ty się opamiętaj! Tej dziewczynie wolno jeszcze być głupią — a tobie już nie czas! Ty prędko poprawę zaczynaj — żebyś dłużej przed młodszymi i małymi wstydzić się nie potrzebowała. A na ręce nie patrz, że będą czarne, nie słuchaj, jak zabolą, chwal się jak stwardnieją. Gdy twoja krasa przemienie — takie ręce będą twoją krasą!

— Daj wam, Boże, pociechę, spokój i dobrą dolę.

— Amen! — powtórzyła życzliwie rodzina jego dla obcych i nieznanach...

Była zupełna noc, gdy wóz, ciągniony przez melancholiczną swą klacz, zawrócił z powrotem.

Noc była księżycowa i ciepła. Woznica rzucił gałąź, lejce na łusznę założył i przysunął się do narzeczonej. Nie przynaglił starej do biegu, ani kierować nią trzeba było, bo znała lepiej od nich drogę do żłobu.

— Korzystajmy z czasu wyznaczonego w życiu — na dumki o kochaniu — mówił z cicha pan Jan.

— Niech pan nie żartuje!

— Broń Boże!

— Więc raczej zapamiętajmy dalsze rady! Wie pan, że mi wstyd mej płytkości i myśli pustych...

Zwróciła się do niego i, uśmiechając się serdecznie, dodała:

— I postaramy się tak żyć!

— Będziemy!

— I zmówimy kiedyś w spokoju i zadowoleniu pacierz za Makara?

— Zmówimy razem — z wdzięcznością!

Uścisnęły sobie dłoń na utrwalenie sojuszu.

A w głębi wozu pani Aniela siedziała milcząca i zamyślona. Wreszcie spojrzała na niebo i odezwała się do brata:

— Nie mógłbyś, Jasiu, przynaglić konia? Tak późno: zaraz ranek.

— Czy ty, siostrzyczko, chcesz już jutro słońce wyprzedzić?

— Nietylko chcę, ale wyprzedzę niezawodnie! — odparła z łagodniejszym uśmiechem.

— Makar i od ciebie dostanie paciorki, sądzę?

— Dostanie!... — może i od Stasia — dodała ciszej.

Notatki pedagogiczne.

— Osoby prywatne, pragnące otrzymać pozwolenie nauczania, powinny przedstawiać odpowiednie świadectwa zdanych egzaminów państwowych. Egzamina na stopień nauczyciela powiatowego, nauczycieli i nauczycielek domowych i elementarnych składają się przed radą pedagogiczną gimnazjum, lub progymnazjum, a w miejscowościach, gdzie zakładów takich nie ma, przed radą pedagogiczną szkół powiatowych, lecz tylko na stopień nauczycieli, lub nauczycielek początkowych. Podanie o pozwolenie składania egzaminu z wyszczególnieniem przedmiotów, które kandydat lub kandydatka zamierzają wykladać, należy wnosić: w Warszawie na imię kuratora Okręgu Naukowego, w innych zaś miastach na imię dyrektora gimnazjum lub inspe-

ktora progymnazjum, albo zarządzającego szkołą powiatową. Wiek przystępujących do egzaminów na wyżej wymienione stopnie nauczycielskie jest: dla mężczyzn 17, dla kobiet 16 lat skończonych. Przy podaniu należy dołączyć metrykę, oraz świadectwo pochodzenia i moralnego postępowania, które wydaje władza policyjna, wreszcie krótki opis życia. Osoby, które uczęszczały do zakładów naukowych, powinny przedstawić świadectwa szkolne.

— Warszawa liczy 26 ochronek, do których uczęszcza 3.982 dzieci rodziców niezamożnych; przecież wszystkie te zakłady mieszczą się w okolicach miasta odleglejszych, gęściej zaludnionych przez rodziny robotników i ludzi uboższych. Za to niema ich wcale w dzielnicach między Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem a ulicą Marszałkowską z jednej strony; z drugiej od Placu Ś-go Alexandra do końca ulicy Długiej, jak to skonstatował nieżyjący już dzisiejszy filantrop, ś. p. Goltz. A przecież i tu mieszka wiele tysięcy ludności niebogatej, ludności pracującej, która zamieszkuje facyatki i suterreny; są tu przytem stróże, służące, i dzieci tych rodziców potrzebują również ochron, aby nie zostawały bez opieki w czasie, gdy rodzice zajęci są pracą — aby otrzymywały jakiś kierunek wychowawczy. „Kronika Rodzinna“ podniosła myśl swego niegdyś współpracownika, wykazując potrzebę ochrony w środku Warszawy, na przykład przy ulicy Mazowieckiej. P. Marya Weryho podejmuje się kierownictwa zakładu i tylko potrzeba na wzniesienie go i następnie utrzymanie 1.274 rs. rocznie, jak to obliczono zostało przez ludzi dobrej woli. Składowym groszem zebranie takiej sumy jest rzeczą niemożliwą, ani nawet zbyt trudną, i potrzeba tylko, aby ktoś dał dobry przykład — zrobił początek. Ofiary należy odsyłać do p. Szymona Krzeczковского, opiekuna ochron warszawskich, mieszkającego przy ulicy Smolnej, Nr. 6-ty.

— Kwestya ochron wiejskich, poruszana wielokrotnie przez pismo nasze, jako rzecz potrzeby koniecznej, podniosła p. Marya Weryho w „Przebiegach Tygodniowych“, żądając, aby przewodniczył tu dobry wychowawca lub wychowawczyni — ktoś zdolny zapoznawać dzieci z naturą i jej zjawiskami, co może wykorzenie przesady. Po skończeniu ochronki dziecko mające już lat siedm lub ośm, przechodziłoby do szkoły, gdzie, „musiałaby“ — pisze projektodawczyni — istnieć gry gymnastyczne i niekiedy rzemiosła. Dla dzieci wiejskich, które z naturalnego popędu gymnastykują się, przebywając płoty, drapiąc się na drzewa, biegając wśród otwartej przestrzeni — mniej jest potrzebną gymnastyka, jak żądana następnie przez p. Weryho nauka rzemiosł domowych: „słójd“, a dla dziewczynki odpowiednich zajęć kobiecych. Przecież wymieniona tu przez nią nauka przedzenia, tkania jest mało potrzebną, a raczej wcale niepotrzebną w szkole, bo tej nabeździe każda dziewczyna w domu od matki; ale zajęcie igłą: nauka szycia, cerowania, przerabiania odzieży, skrajania jej sobie — to rzecz wielce pożyteczna i wprowadzenie jej do szkoły jest bardzo właściwe, a nawet — dodać trzeba — stanowić to może w oczach rodziców ponętę, popychającą do chętnego posyłania tam dziecka, bo praktyczne strony tej nauki przemawiają za nią. Nauka koronek zaliczać się daje również do tego rzędu, lecz chcąc ją rozpowszechnić, trzeba właśnie zaczynać wcześniej — w dzieciństwie, póki palce giętkie i od prac ciężkich niezgrubiałe, łatwiej dają się włożyć do niej.

Gymnastyka w szkołach miejskich ma znaczenie owiele wyższe dla dzieci klas wszelkich, bo zastępuje ten ruch naturalny na świeżem powietrzu, którego dzieci miejskie z konieczności muszą mieć mniej. Przechadzka, zwłaszcza po drodze równej, nie może oddać tu usług takich, jak gymnastyka. Nie rozwija tak sił, jak bieganie, drapanie się pod górę, skoki, przy czem żywszy obieg krwi oddziaływa na zmęczenie mięśni i oddech przyśpieszony rozszerza klatkę piersiową. Francuzka wychowawczyni, dyrektorka normalnej szkoły dziewcząt w Dijon, L. Murique, zwiedzała w roku ubiegłym kosztem rządu zakłady gymnastyczne w Szwajcaryi, dla zbadania na miejscu

metody przyjętej tam dla szkół dziewcząt. W Bazylei, gdzie jest wyższa szkoła ludowa dla dziewcząt, mieszcząca się we wspaniałym, obszernym gmachu o wielkich, ogromnych salach, licząca też w ośmiu oddziałach siedmset dziewcząt, nauka gymnastyki właściwej trwa tylko od lat dziesięciu do piętnastu. Potem zastępuje ją ruch miarowy, rytmiczny, najczęściej połączony ze śpiewem, który jest pewnego rodzaju tańcem. Dziewczeta, trzymając się po dwie za ręce, czynią do taktu wedle klaskania nauczyciela w dłoń dwa kroki naprzód, dwa kroki w tył, albo, ustawione dwoma rzędami, posuwają się ku sobie, podają sobie prawe ręce — wykręcają się jak w tańcu, potem wracają na miejsce, i tak dalej, to wykręcając się na miejscu pojedynczo z podniesionymi do góry rękami, to parami po dwie, to tworząc koła. Jest tych figur, isticie tanecznych, bardzo wiele, niezmiernie wdzięcznych i urozmaiconych. Mają one za sobą tę korzyść, zwłaszcza w edukacji domowej, że nie wymagają żadnych szczególnych przyrządów; w zimie zaś mogą być wykonywane w każdym nieco większym pokoju, przy dźwięku muzyki. Jest wiele figur, przy których dziewczeta śpiewają, to chórem, to solo. Francuzka podróżniczka przeglądała drukowany zbiorek tych śpiewów z nutami, i melodye ich bardzo chwali, że są proste a wdzięczne; słów tekstu nie rozumiała przecież, bo śpiewy były niemieckie.

My mamy różne gry stare, także ze śpiewami, którychby użyć tu można z dobrym skutkiem; przecież to, o czem pisze nauczycielka francuzka, tworzy pewną skończoną całość, ułożoną metodycznie z myślą poszczególnego ćwiczenia wszystkich członków i kształcenia ich harmonijnego według wskazówek higieny. Gymnastyka właściwa, jest zdaniem francuzkiej nauczycielki, nie zawsze właściwą dla dziewcząt w epoce ostatecznego dorastania. Organizm przebywa pewną pracą wewnętrzną, przyczem męczenie go przez ruch nadmierny mogłoby być rzeczą szkodliwą. Tu przecież tylko zdanie lekarza może wyrokować.

— Rekreacya, jako punkt obserwacji dla badania charakteru młodzieży — to przedmiot uwag pedagogicznych pewnej grupy nauczycieli francuzkich, pragnących dojść do prawdziwej znajomości młodzieży kształconej. Młodzież ta, starsza i młodsza, jest w szkole związana przepisami obowiązującej karności, jest tu przytem zajęta nauką; lekcyja wydawana czy słuchana zajmuje mniej więcej jej uwagę, — co wszystko znika w godzinie rekreacji. Wolność otrzymana wtedy od krywa różne strony charakteru, zasłonięte dotąd przed okiem nauczyciela: gromadki się tworzą według naturalnego wyboru, rodzaj zabawy obranej dla przepędzania chwil wolnych pozwala też wejrzeć w głębi, zakrytą dotąd przed okiem nawet uważnego obserwatora. Z uderzeniem godziny, niosącej ze sobą swobodę, młodzież — nawet starsza — wybiega żywo z murów sali szkolnej i wolność otrzymana przetwarza ją, jakgdyby w osobistości nowe. Natury spokojniejsze, mniej namiętne w pogoni za przyjemnością nie rwą się tak naprzód, nie pragną tak żywo korzystać z czasu. Ci, którzy stają się tu organizatorami zabawy, to charaktery silniejsze, z wrodzoną chęcią panowania, lub też zepsute przez wychowanie: małe bożyszczą rodziców, już samowolne i rządzić chcące. Z takich-to tworzą się potem samoluby i despoci, chcący wszystko i wszystkich wieść według woli swojej. Słabość charakteru, bojaźliwość, brak decyzji, tchórzowstwo lub śmiałość, dzielna odwaga, szlachetna zdolność poświęcenia się dla innych, ustąpienia im coś z prawa swego — wszystko to odbija się tu jak w zwierciadle przed wzrokiem tego, kto umie patrzeć i wyciągać z rzeczy widzianych wnioski odpowiednie.

Obserwatorowie tak badanej młodzieży ogłosili drukiem uwagi swoje, dając rodzicom i nauczycielom klucz do serc i umysłów młodzi, powierzono ich straży, i jest to dobra wskazówka dla rodziców, dla matek zwłaszcza, do wejrzania w naturę skłonności dziecka, do poznania zakrytych stron jego charakteru, które może na żadnym innym polu tak się szczerze i wyraźnie nie objawia-

ją. Już ktoś, przetwarzając stary aforyzm, powiedział: — Pokaż mi, jak się bawisz, a powiem ci, kto jesteś... Lecz zabawa ludzi starszych może jeszcze ulegać sile różnych pobocznych względów i zamiarów: gdy zabawa dziecka, młodzieży małoletniej, pozwala przejrzeć ją niemal nawskroś i zobaczyć: jaką jest w nieklamanej prawdzie ulubień i uczuć swoich.

Nadto jeszcze zabawa podsunęta dziecku może wpływać źle albo dobrze na rozwój jego skłonności, zdolności nawet, i śmiało twierdzić można, że stanowi ona część bardzo ważną edukacji moralnej i umysłowej dziecka. Zabawa może rozmaicie uskrzydlić wyobraźnię dziecięcą, zwrócić ją ku pięknym, szlachetnym, lub poziomym, pospolitym stronom życia. Jest w pedagogicznej literaturze francuskiej dziełko: — „Lalka, nauczycielka córek naszych“ i prawda to zrozumiała dla każdego. Czy naprzykład lalka — modna dama w jedwabiach, w draperyach sukni połowczystej, a lalka, dajmy na to: Krakowianka, zdająca się wdzięcznie do nas uśmiechać prostotą swego rodzimego stylu piękna, jednakowem wrażeniem oddziaływają na wyobraźnię młodą? Każdy, kto chce i umie zastanowić się nad rzeczą, odpowie: nie!.. i doda, że lalka może być tem, co psychologia nazywa „poddaniem myśli“. To też cała ta czujność wychowawcza, którą rodzice rozwijają wobec złej lub dobrej książki, powinna istnieć i wobec zabawy, która dodatnio lub ujemnie odbija się na wyobraźni dziecka, nadając jego uważce obrazy życia wyższe lub niższe.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg.)

Odkrycie to spadło na jego ojcowskie serce, jak obuch.

Przejął go taki żal, taka litość, takie współczucie dla swego dziecka, że aż mu samemu łzy w oczach stanęły; przystąpił do swojej „starej“, objął ją w ramiona, przyciskając serdecznie do piersi, i zamiast długiej przemowy na pocieszenie strapionej dziewczyny, zdobył się tylko na kilka prostych słów, czułością ojcowską natchnionych:

— Moja ty biedoto, moja biedoto!...

I zaczął gorąco całować ją w głowę, skronie i oczy; na ustach czuł słone łzy, które rozgniatł swemi pocałunkami, a które wymowniejsze były od wszelkich wyznań, jakiego mógł być wydobyć ze swojej córki.

Trzymał ją tak w objęciu, jak dziecko, przytuloną do siebie i upieszczał po raz pierwszy od pogrzebu matki, powtarzając:

— No, dość, dość!... no, cicho już... no, miejże rozum!...

Kiedy się już uspokoiła i płakać przestała, posadził ją obok siebie na kanapie i, obejmując ramieniem, zaczął łagodnie, jakby nie był ojcem, ale spowiednikiem, wypytywać:

— Powiedz-żeż mi, moje dziecko, czyście wy kiedy z sobą mówili o czym?...

— Jakto tatku?... o czym mieliśmy mówić?...

— No, o tem... o tem, że...

Pomogła mu swoją domyślnością, czując, że mu jakoś trudno przez usta przechodzą słowa o ich miłości.

— Ah nie, nigdy! — zaprzeczyła żywo — cośmy mówić mieli, kiedy to się czuje; zresztą, chwała Bogu, żeśmy sobie nic wyraźnie nie powiedzieli!...

— Zapewne.

— Będzie nam teraz łatwiej...

— Rozejść się, — poddał ojciec.

Ten wyraz obojgu sprawił wrażenie ostrza lancetu, przytkniętego do serca.

— Nie to, — rzekła ze smutnem westchnieniem — ale ominąć wszelkie wyjaśnienia między nami, bo przecież ja mu nie powiem w oczy, że tatko nie chce, aby dalej był u nas. Prawda, tatku?...

Pęczyński spojrzął na córkę zakłopotany.

— Jakto, nie powiesz?... a któż mu ma powiedzieć?

— A no, tatko sam.

— Ja?...

Stary oczy spuścił przed jej wzrokiem.

— Widzisz, mnie nie wypada, — zaczął, wymawiając się — cóżby sobie pomyślał!... a wyraźnie nie można mu wypalić całej prawdy, bo tamten znów zastrzegł sobie dyskrecją z mojej strony. Jeszcze-by potem przyszło do jakiej niezgody rodzinnej, niech Bóg bronil!... tego nie możemy dopuścić.

Frania rączki rozłożyła, jak niezaradne dziecko.

— No, tak, ale jakże ja mu to wytłumaczę? — spytała — przecież coś powiedzieć trzeba. — Ja tego nigdy nie potrafię, ja nie umiem udawać, jeszcze przed nim. Poznałby po mnie zaraz; zacznie nalegać, zmieszam się i wygamam ze wszystkim. Niech to już tatko zrobi.

— Ale, niby mnie nie znasz!... ja jeszcze mniej od ciebie...

Potarł czoło zachmurzone i myślał.

— Nie, nie — rzekł znowu po chwili — to już ty musisz wziąć na siebie. Przecież sto pretekstów znajdziesz, jak zechcesz. Powiesz mu... powiesz np., że to nie wypada, aby tak codziennie przychodził...

— Codziennie?... kiedyż tatku, on codziennie nie przychodzi, — wtrąciła, jakby w obronie swojego Krzysia.

— No, to co drugi dzień, wszystko jedno. Możesz powiedzieć, że to zwraca uwagę ludzi, że ci już mówiono o tem z przekazem... to... tamto... et, potrafisz, potrafisz. Ty, stara, masz głowę!...

Schwyciła go za rękę i, całując ją gorąco, błagalnym spojrzeniem poparła swoje słowa.

— Mój tatku, mój złoty, mój jedyny, nie każ mi tego robić!... jabym się wolała zabić, niż z nim rozmawiać w taki sposób. To będzie wyglądało zresztą, jakbym go wyzywała do oświadczeń i może mieć zupełnie przeciwny skutek. Ja nie chcę, aby mnie o cokolwiek podejrzewał. Może co innego?...

Oboje podparli głowy w swem utrapieniu i biedzili się myślami, jakgdyby nad rozwiązaniem sfinxowej zagadki.

Wydało im się to tak trudnem usunąć ze swego domu i ze swego otoczenia człowieka, który dawał im dowody wyjątkowej życzliwości i przyjaźni; tem trudniejszym od chwili, gdy między nimi przyszło do odsłonięcia tajemnicy młodego serca, co się łzami zdradziło ze swoich uczuć.

Wreszcie Pęczyński, zakładając ręce na pierśiach, rzekł z rezygnacją:

— Ha, — nic innego nie pozostaje zrobić, jak wyjechać!

— Opuścić fabrykę?... tatku!...

— Trudno, moje dziecko; tak trzeba.

— A gdzież my się podziejemy?...

Wypatrzyła się z przestrachem niemal w niego.

— Jakżeż można przypuszczać nawet coś takiego!... a dzieci?... a ty, ojczu, na swoje stare lata!... Nie, nigdy, nigdy!...

— Bądź spokojną — przerwał jej, — starszy mi to sam proponował. Dał mi do zrozumienia, że gdybym się opierał, albo miał jakie zamysły, to mnie poprostu napędzi, ale jeżeli zechcę, mogę liczyć na inne miejsce.

— Powiedział to tate?... więc tak bardzo im zależy na naszym zerwaniu...

Opuściła głowę na ręce z tłumioną boleścią i słuchała, gdy jej ojciec opowiadał szczegółowo rozmowę swoją z Karolem Fattem, o propozycji przeniesienia się na inną posadę i wyjazdu na wieś.

Słuchała z bijącym sercem i rozważała każde jego słowo; gdy skończył, wydawała się już zdecydowaną.

— Może to będzie najlepszem ze wszystkiego — rzekła — jeżeli tacie nie zależy na pozostaniu tutaj.

— Zgodziłabyś się wyjechać? — zapytał ją z niedowierzaniem.

— Skoro trzeba, wolę to, niż siedzieć tutaj i unikać się nieustannie. Będzie mi lżej, — dodała ciszej — i jemu także.

Pęczyńskiemu ta stanowczość córki nie sprawiła spodziewanej radości, ani ulgi w strapieniu; czuł, że przyjmuje ofiarę z konieczności; pochylił głowę i, trzymając Franię za rękę, myślał dalej, jakgdyby było coś innego do wymyślenia dla rozwiązania sytuacji.

Od czasu do czasu jedno z nich powtarzało z coraz głębszym westchnieniem, a coraz smutniejszym głosem:

— Trzeba wyjechać, niema innej rady; tak, tak, to ze wszystkiego najłatwiejsze.

Niewierzyli bardzo swym własnym słowom, ale wmawiali w siebie, że tak być musi i starali się pogodzić z tą ostatecznością.

Około północy dopiero spostrzegli się, że już późno i że wypada zakończyć tę naradę do jutra.

— No, idź spać, stara, — rzekł nareszcie ojciec — nic innego nie wynajdziemy; połóż się... a... a jak mnie kochasz, nie płacz już więcej — dodał, gładząc ją czule po główce drżącą ze wzruszenia ręką — i tak masz już oczy czerwone, jak królik. Co to pomoże!...

W pół godziny potem cicho było w pokojach Pęczyńskich; stary z otwartymi oczyma leżał na swoim łóżku i w ciemności przyglądał się dwóm jasnym plamom w kształcie serca ostro wykrojonym na podłodze.

Przez otwory okiennic wrzucił te dwa srebrne płatki ze dworu roziskrzony w mroźną noc księżyc w pełni, a strapionemu ojcu nie dały one oczu zmrużyć i przywodziły na pamięć swym kształtem dwa inne serca, które los zbliżał lata całe, aby je potem w jednej chwili rozerwać!...

Zdawało mu się kilka razy, że w alkierzyku za ścianą słyszy westchnienia i płacz Frani; wstawał pocichutku z łóżka podchodził do drzwi jej sypialni i nasłuchiwał uważnie, potem uspokojony kładł się znowu i machinalnie z przyzwyczajenia do jednej i tej samej myśli, szeptał do siebie:

— Niema-co, trzeba wyjechać!.. trzeba wyjechać!.. trzeba wyjechać!

Jak uparte muchy, brzęczały mu te wyrazy w głowie; pozbyć się ich nie mógł.

Trzeciego dnia pan Karol zdziwił się niemało, kiedy mu woźny z kantoru zameldował pana Pęczyńskiego; zajęty był właśnie odpisywaniem na różowy liścik z emblematem szpileczki wpiętej w rozek papieru, więc kazał staremu inkassentowi poczekać chwilkę i układał z wielką widoczną starannością odpowiedź, pragnąc jej nadać jakąś niezwykłą i niebanalną formę, która mu się w handlowo-kupieckim stylu jakby na złość podsuwała ciągle pod pióro w stereotypowych wyrazach: „Na list Szanownej pani, odebrany przed chwilą“...

Kreślił, mazał, przestawiał wyrazy i jak student biedził się nad ułożeniem brulionu, nie przyzwyczajony widocznie do dobierania egzotycznych kwiatów korespondencji.

Miał mozolne zadanie, ale chciał wybrnąć z trudności, które sobie sam tworzył, dla uniknięcia szablonu, zwłaszcza w odpowiedzi na list, następującej treści:

„Na Boga, dość już tych bukietów, bo jak Calchas będę zmuszoną wołać: „za dużo kwiatów“!“

„Jeżeli się pan nie obawiasz udusić zapachem własnych róż i konwali, któremi zasypałeś mój gabinet, przyjdź jutro po teatrze na gawędę w malutkiem kółku moich najbliższych.“

„Do pana jednego mam zaufanie, chciałabym poradzić się, porozmawiać, pośmiać trochę...“

„Jestem dziwnie smutną od dni kilku. Zniemawidziłam ludzi, ach! jak zniemawidziłam!..“

„Gdyby nie scena, sztuka, mój talent...“

„Ale co ja mam panu mówić o tem, to nudne — nieprawdaż, panie Karolu?“

„Zatem przyjdiesz pan?.. czeka cię niespodzianka dziwacznej, kapryśnej, szalonej, ale nigdy nie nudnej istoty“...

Pismo było szybkie widocznie, nierówne, rozstrzelone, przeładowane wykrzyknikami, punkta-

mi, myślnikami, papier miał mocny zapach piżma, a u spodu, na dowód wielkiego roztargnienia, czy większej jeszcze przezorności, brakowało podpisu.

Kilka wyrazów na samym końcu było starannie przekreślonych i zatartych, jakby po głębszym namyśle; wyglądało to, jakby się obawiano powiedzieć za dużo, albo z całą finezyą starano właśnie najbardziej temi hieroglifami zaintrygować.

I ten ostatni cel był w zupełności dopiętym.

Karol, który cały list odczytywał poraz dzieśiąty, przyglądał się z podwójnym zajęciem przekreślonym wyrazom, starając się odcyfrować je koniecznie; stanowiły one dla niego najciekawszy ustęp korespondencji dlatego, że zawierały jakąś nierozwiązalną zagadkę.

Spokojna zwykle, nieruchoma jego twarz była teraz zmieniona do niepoznania; zdawało się, że spadła z niej maska, której w zamkniętym gabinecie, samnasam z sobą, nie potrzebował nakładać.

Różowy arkusik papieru drżał mu w rękach i pochłaniał całą jego uwagę w tej chwili, działał na jego zmysły, oszołomiał tę zimną z pozoru, obojętną i nie wrażliwą naturę.

Ojciec Fatt nie byłby poznał własnego syna w takim stanie.

Co prawda, ojciec Fatt nigdy w życiu nie odbierał listów na różowym, pachnącym papierze, a Fat *jun.* dopiero teraz od niedawnego czasu prowadził oryginalną korespondencją, która miała dla niego urok nieznanymi pokuszeń i przedsmak zasłyszanych tylko „awanturek“ ze świata, poraz pierwszy stojącego dlań otworem.

Mozoląc się nad ułożeniem odpowiedzi, któraby choć w przybliżeniu dostrajała się do tonu zaproszenia w pachnącym bileciku, Karol doszedł do przekonania, że łatwiejby mu przyszło napisać sto listów godnych uwiecznienia w fabrycznej książce do kopiowania, aniżeli wystylizować kilka wierszy, streszczających w sobie uczucia, jakimi był porażony.

Dał pokój wyszukany zwrotom i ozdobom, a szczęśliwie wpadł na myśl użycia lakonizmu, bez marnowania słów na długie frazesy.

Ułożył przeto odpowiedź treściwą, krótką, z wprawą człowieka, załatwiającego często interesa drogą telegraficzną.

Bilecik jego nabrał przez to charakteru pospiesznej depeszy, ale i pewnej poufałej stanowczości, która się przebijała mimo jego woli w tych kilku słowach:

„Dzięki, — jutro po teatrze. — Nad wyraz szczęśliwy K. F.“

Położył tylko swoje inicjały, choć ręka przyzwyczajona do skreślenia całego podpisu z kunsztownym zakreślasem, machinalnie składała mu się już do rozmachu, z jakim podpisywał w imieniu firmy swoje nazwisko.

Zadzzwonił, kazał wpuścić posłańca do swego gabinetu, własnymi rękoma oddał mu zaadresowany liścik i wyprawił śpiesznie drugimi drzwiami na kurrytarz, aby nie potrzebował wracać przez kantor; potem małym kluczykiem otworzył sztuczny zamek w swem biurku, wyciągnął szufladę ze skrytką bardzo zręcznie w niej umieszczoną, pocisnął sprężynę, a gdy odskoczyło podwójne dno z płyty stalowej, do rozmaitych papierów, stanowiących tu widocznie najtajniejsze archiwum ważnych dokumentów, dorzucił różowy liścik „dziwacznej, kapryśnej, szalonej, ale nigdy nie nudnej istoty...“

Potem zatrzasnąwszy znowu dno i szufladę, stanął przy oknie i zaczął bębnić palcami po szybie w takt jakiejś operetkowej piosenki, którą pogwizdywał pocichu, zatopiony jeszcze w myślach, zabarwionych silnie na kolor różowy.

Służący wszedł po raz drugi do gabinetu pana dyrektora i ośmielił się przypomnieć, że pan Pęczyński już od pół godziny czeka w kantorze.

— Ach, wpuść! — z oznaką wyraźnego niezadowolonia bąknął przez ramię służącemu, i nie odwracając się, pozostał przy oknie, wyczekując wejścia natrętnego inkassenta.

— Co mi pan powie dobrego, panie Pęczyński? — spytał, posłyszawszy skrzypnięcie drzwi i chrząkanie za swemi plecami.

— Sługa pana dyrektora, — odezwał się smutnym jakimś, bezwzględny głosem stary oficjalista; — przychodzę w interesie a zarazem z własną prośbą... Pan dyrektor ośmielił mnie przedwczoraj do...

Jakoś mu nie szło, więc utknął przy pierwszych wyrazach.

— Do czego, do czego panie Pęczyński?

— Do... do... ale możeby pan dyrektor wolał wpierv załatwić ważniejszą sprawę? — skrzęcił, zmieniając ton i przedmiot rozpoczętej tyrady.

— Słucham.

— Co my mamy zrobić z firmą Jańskiego i Spółki? Nie płacą, panie dyrektorze. Mamy u nich do odebrania kilkanaście tysięcy, od czterech dni chodzę z awizacją, odprawiają mnie z niczém; mamy weksel zaprotestowany, to prawda, ale termin minął, a gotówki odebrać niepodobna. Za życia starego Jańskiego, który był z nami w częstych stosunkach nigdy się to nie zdarzało, ale teraz, gdy młody objął dom na siebie...

Karol odwrócił się z zajęciem do niego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Kobiet lekarzy jest w Rosyi 698. Z tych zajmuje się praktyką prywatną 229, zajętych przy szpitalach jest 178, przy zakładach naukowych 6.

— Na rzecz kobiecych kursów medycznych w Petersburgu przekazał zmarły tamże Dr Botkin 20.000 rs. Był to powierzony mu *fidei-commis*, którym mógł rozporządzać według uznania.

— Na wystawie nasion i roślin gospodarskich, oraz produktów nabiałowych i gospodarstwa domowego, otwartej d. 16 Lutego w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa znajduje się wśród pięćdziesięciu kilku wystawców kobiet 9. Z tych wystawiły: Elżbieta Bochwicowa z powiatu Wyłkowskiego, wędliny; Zofia Dobczyńska z Duplewic, pow. Konstantynowski, wędliny i wódki słodkie; M. Meyer z Rewla, przetwory nabiałowe; Marya Kowelska z Radzanowa, pow. Rodomski, bryndzę; Helena Chrzanowska z Dziadkowie, pow. Konstantynowski, bulion, włoszczyznę, jedwab' surowy, Marya Radecka - Mikuliczowa z Kraczymna, pow. Nowoaleksandrowski, pasztety, naśladowanie strasburskich; hr. Marya z Tyzenhauzów Przeddziecka, martwy inwentarz gospodarczy z 1824 r. Zofia z Malewskich Iwanowska z Kaczanowizny, pow. Miński, szynki. B. Brodzka z Ekaterynodar, grzybki kefirowe.

— Na dorocznym zebraniu „Towarzystwa Ogrodniczego“ znajdowało się kobiet członków 25% ogólnej liczby.

— Wystawa Szkoły Malowania p. Ludwika Wiesiołowskiego, urządzona w Salonie Artystycznym zgromadziła utwory 23 uczennic, a mianowicie: A. Aretówny, H. Bondy, I. Bredów, M. Daniszowskiej, I. Flamówny, M. Gewartowskiej, St. Karłowskiej, M. Komierowskiej, E. Lempe, L. Łempickiej, M. Maciejowskiej, B. M. Malinowskiej, M. Mayznerówny, M. Możdżeńskiej, I. Niewiarowskiej, A. Paszkiewiczówny, N. Puchałło, M. Straszówny, Zofii Szmidtowny, Br. Wiesiołowskiej, St. Wiśniewskiej, Z. Zarańskiej.

— W Salonie Artystycznym na Nowym Świecie ma się otworzyć wystawa dekoracji pokojowej, urządzona przez malarki warszawskie. Publiczność została przeciwko niemu rażona wyrażeniem „wystawa wzorowego budoaru“. Mniej nam potrzeba budoarów, a raczej nie potrzeba nam ich wcale, niech tylko w domach naszych będą zawsze czyste, jasne pokoje, gdzie mieszka zadowolenie, wynikające z rozumnego urządzenia życia rodziny. Nie jesteśmy bogaci, ale wtedy

nawet, gdyby płynął nam Paktol złotonośny, jeszcze, powtarzam, budoarów tak nam nie potrzeba, abyśmy wzory ich czynili przedmiotem publicznych wystaw. „Poważna godność, wytrwałość z pracą ubóstwo znoszą, albo bogactw... woła wielka nasza poetka, Żmichowska.

— W zakładzie S-go Łukasza maluje się na zamówienie hr. Stanisława Kossakowskiego okno przeznaczone dla kościoła S-go Alexandra na placu Trzech Krzyży. Wśród bogatej ornamentacji, odpowiedniego stylu, umieszczone będą postacie S. S. Stanisława, Alexandra, Michała i Józefa.

— Dozorczynią Ochrony Nr 21-ej została p. Anuncyata Zagajewska, w miejsce usuwającej się p. Anny Grabowskiej.

— Nadzór nad kuchnią i pralnią sal zarobkowych imienia Staszycy objęły Siostry Miłosierdzia.

— W zakładzie utrzymywanym przez „Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności“ znajduje się dziewcząt 69. W Przytulku ubogich dziewcząt przy ulicy Kruczej jest ich 60.

— W szwalni III, mieszczącej się przy ulicy Jerozolimskiej a zostającej pod przewodnictwem p. Karolowej Temlerowej, mieściło się w pierwszej połowie ubiegłego roku dziewcząt 50, w drugiej połowie 60, jak to wykazuje sprawozdanie za rok przeszły, piąty istnienia „szwalni“. Zarząd zakładu zwrócił na to uwagę, że praca igła, przy wielkiej w tym kierunku konkurencji, niezawsze zapewnia byt pracującej i ztąd zarząd zaprzagnął uzdolniać starsze dziewczęta na dobre sługi: kucharki, pokojówki, bony, praczki i tak uzdolnionych wyszło już ze szwalni 15; przytem jedną wyuczono rękawicznictwa, jedną tkactwa domowego. Gotowania uczyły się dziewczęta dzięki ofiarności zacnej p. Temlerowej, pod kierunkiem kucharza, p. Kosińskiego.

Do szwalni uczęszczają najczęściej dziewczęta bardzo młode, mniej więcej do lat 14; starsze bywają zwykle odbierane przez rodziców z przyczyny, aby praca ich przynosiła natychmiast zarobek. Dyrektorką jest tu p. Br. Kuczyńska, kassyerką p. P. Reinszmidt, nauczycielkami M. Jankowska, M. Krzycka.

Obiadów wydano uczennicom 11.628; wpływ funduszy był w roku sprawozdawczym 6.343 rs. i coś drobnych. P. P. Olszewscy z Bukowa zapewnili dziewczętom pobyt bezpłatny na kolonii letniej, p. p. Kropiwnicycy ofiarowali marki na pieczywo, a kilku lekarzy — bezpłatną opiekę nad zdrowiem dziewcząt i w razie potrzeby lekarstwa bezpłatne.

— Grono pań zajęło się otworzeniem nowej taniej kuchni, w którejby za 20 gr. otrzymywało się trzy posilne potrawy: zupę, mięso, jarzynę i kawałek chleba. Inne tanie kuchnie wyda ją pojedyncze porce, a nie całkowite, jak tu, obiady.

— W połowie postu pewne kółka pań zamierza urządzić wystawę spożywczą z celem, aby otrzymany ztąd dochód czysty został obrócony na Święcone dla ubogich.

— Bazar wyrobów pracy kobiecej przy ulicy Wierzbowej otrzymał z Wiednia zamówienie na kilka ubiorów dziecińczych; trzeba przypuścić, że charakterystycznych, stylowo-naszych. Bazar przedstawia zakład pracy kobiecej godzin największego poparcia — najgorętszego zainteresowania się nim publiczności, bo wspomaga najpożądany kierunek pracy kobiecej — pracy na zarobek, mogącej się odbywać w domu, więc niewytrącającej poza ten dom i czuwającej tu oko rodziny, robotnicy młodej; z drugiej zaś strony nie odbierającej rodzinie i domowi temu matki i gospodyni. Istnienie takiego bazaru potrzebne jest bardzo w każdym mieście większem — potrzebne jest ogromnie ze względów wymienio-nych, a zarazem obywatnie się bez pośrednika, stającego między nabywcą i producentem; zapewnia tak kupującym, jak i robotnicy, pewien procent zysku, który pośrednik ów musi koniecznie mieć, bo inaczej dla czegożby pracował i kapitał swój narażał na niepewność straty lub zysku? Że bazarów takich nie powinny przepelniać prace osób mniej zamożnych i pracujących na sprzedaż dla grosza, który będzie jedynie jakąś supe-

ratą dobrobytu — każdy to czuje i pismo nasze już podnosiło tę kwestyę.

— P. Wanda z Nowickich Kellerowa, Warszawianka, wykładająca w uniwersytecie sztokholmskim gynecologią na prawach docenta, posługuje się dla wykładów swoich językiem łacińskim.

— Krakowskie stowarzyszenie nauczycielek zamierza zbudować dom własny dla emerytek. Zarząd Stowarzyszenia wniósł do Rady Miejskiej podanie o udzielenie bezpłatnie gruntu pod tę budowę.

— Czeskie stowarzyszenie kobiece wystosowało do Rady państwa petycją, żądającą dopuszczenia do uniwersytetów kobiet w charakterze słuchaczek zwyczajnych.

— Kobiety zostały w Galicyi zawezwane do komitetu ratowania od głodu powiatów nim dotkniętych. Uchwalono też na posiedzeniu odbytem we Lwowie, aby najpierw zawezwać do współdziałania *Towarzystwo oszczędności kobiet*, *Towarzystwo dobroczynności kobiet*, *Towarzystwo Ś-tej Salomei*. Lwowskie *Towarzystwo oszczędności kobiet*, które, jak wiemy, złożyło już poprzednio 1.000 zł. reńskich na cel ratowania głodnych, ukonstytuowało skład zarządu swego na rok bieżący. Przewodniczącą została księżna Adamowa Sapieżyna, zastępczyniami jej pp.: Machczyńska i Wysłouchowa; skarbniczką p. Janowska; prowadzącą księgi rachunkowe p. Deskurówna. Wydział zarządu tworzą pp. Moszyńska, Poli, Bodyńska, Modzelewska, Niedziałkowska, Potworowska, Mochnacka, Jamplerowa, Paygertowa, Anna Lewicka, Wolska, Weschlerowa, Padeska i Pelagia Gostyńska.

— W Belgii rząd dodał do kodexu prawa cywilnego paragraf rozszerzający dotychczasowe prawa kobiet w zakresie nauki i służby rządowej. Paragraf ten opiewa: „Osobom płci żeńskiej, wolno jest ubiegać się o stopnie akademickie i otrzymywać je, oraz korzystać z przysługujących im ztąd praw w zakresie warunków, odnośnemi przepisami określonych“. Nastąpiło to na wniosek deputowanego Magis z Liège. Izba Niższa postanowiła następnie udzielić kobietom pozwolenie na praktykę lekarską i zajęcie się aptekarstwem bez żadnych zastrzeżeń, na prawach przysługujących mężczyznom. Odrzucono przeciw wniosek żądający przypuszczenia kobiet do adwokatury, jakkolwiek wolno im jest słuchać wykładów prawnych i otrzymywać naukowe stopnie prawnicze.

— Angielka, zajmująca się ekonomiczną i moralną stroną pracy kobiet i dzieci, miss Ada Heather Brigg, wydała broszurę, że obecnie warunki pracy kobiecej układają się w Anglii pomyślnie, ponieważ pomiędzy robotnicami, pracującymi w fabrykach i tym podobnych zakładach, jest coraz więcej dziewczyn, a mniej mężatek. Jest to rzecz wysokiego znaczenia w zakresie moralności i dobrobytu klas robotniczych, tak ze względu na dziecko, które można uważać za moralnie zaniebane, skoro matki cały dzień w domu niema, jak i na męża, gdy ten, wracający do domu po ciężkiej pracy całodziennej, znajdował tam równie jak on znużoną istotę, a dom nie przedstawiał żadnej z tych wygod i ponęt, jakie dać mu może jedynie staranna o to dbałość gospodyni. Przytem dziewczyna pracująca zebrać sobie może coś grosza zapasowego, przedstawiającego posag, co zwiększa liczbę zawieranych małżeństw i pozwala w początku zaraz gospodarstwa na zaopatrzenie domu w przedmioty konieczne dla dobrobytu rodziny. Z drugiej strony przeciw zwiększa się w Anglii praca dzieci, co oddziaływa bardzo szkodliwie na prawidłowy rozwój organizmu, na zdrowie i siły młodych pokoleń i, co jest rzeczą bardzo ważną, dziecko styka się przed-

wcześniej z rozmaitemi stronami zepsucia, którego znać nie powinno. Miss Heather-Brigg wzywa w broszurze swojej kobiety angielskie aby, tak w imię przyszłości kraju, jak i ludzkości, zajęły się losem dziecka pracującego w fabrykach.

Z bieżącej chwili.

— **Towarzystwo historyczne**, świeżo otwarte w Petersburgu przy uniwersytecie tamtejszym, odbyło pierwsze posiedzenie publiczne. Postanowiono na niem wydawnictwo rozumowanej bibliografii dzieł historycznych i z historią związków mających. Plan wydawnictwa opracuje osobna kommissya.

— **Akademia wystawa obrazów w Petersburgu** otrzymała nowe przepisy, wskutek których komitet wystawy składa się z ośmiu członków: czterech mianowanych przez Akademię Sztuk Pięknych, czterech z wyboru wystawców.

— **Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** urządzi w Kwietniu wystawę utworów Chełmońskiego i, pragnąc, aby przedstawiała całość artystycznej działalności tego malarza, zwraca się do wszystkich posiadaczy jego obrazów o nadesłanie ich na wystawę. Koszta przesyłki ponosi Towarzystwo.

— **Konkursowa wystawa architektury**, gromadząca wszystkie kompozycje, wchodzące w zakres budownictwa, odbędzie się w Styczniu 1891 r. w lokalu Warszaw. Towarzystwa Sztuk Pięknych, a urządzona ma być staraniem tegoż Towarzystwa. Przyjmuje się na wystawę wszystkie projekta architektoniczne, jak i fotografie dzieł architektonicznych już wykonanych, wszystko w przeciągu ostatnich lat trzech, a które poprzednio nie znajdowały się już na wystawie stałej Warszaw. Tow. Sztuk Pięknych. Nie kwalifikują się też na wystawę wszelkie kompozycje, czy kopie dzieł artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem Wystawy. Deklaracje w formie listów do komitetu Towarzystwa przyjmowane będą po dzień 15 Grudnia 1890 r., a zawierają powinny zarazem imię i nazwisko, oraz adres autora, krótką wiadomość o miejscu urodzenia i w jakiej szkole się kształcił. Kompozycje powinny być destarczone do lokalu Towarzystwa przed d. 31 Grudnia 1890 r. Szczegółowe instrukcje konkursu Towarzystwo wydaje, lub wysyła na żądanie bezpłatnie. Nagród jest trzy: po 600, 300 i 200 rs.

— **Pomnik Kraszewskiego**, mający stanąć w kościele S-go Krzyża w Warszawie, a którego wykończenie powierzono było ś. p. Kryńskiemu, jest w najważniejszych swych częściach wykonanym. Części te bronzowe, to jest popiersie Kraszewskiego, dwie figury boczne, przedstawiające *Geniusz* i *Pracę*, oraz inne drobniejsze ozdoby potrzebują już tylko wyczyszczenia. Pozostaje już tylko robota kamieniarska.

— **Jubileusz zasłużonego** w malarstwie naszym artysty, prof. Gersona, został upamiętniony przez komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych konkursem malarskim jego imienia, rozpisany przez toż Towarzystwo na obraz treści historycznej z nagrodą 600 rs. Komitet zaprosił do grona sędziów jubilatę, przyczem uczynił go członkiem honorowym Towarzystwa. Współka artystyczna, na której wystawie znajduje się właśnie świeżo

wykończony obraz historyczny pędzla jubilata: „Opiekunowie króla“, postanowiła dla uczczenia go wydać swoim kosztem dzieło jego, zostające w rękopiśmie: „Sztuka stosowana do przemysłu“.

— **Czeskie stowarzyszenie Sztuk Pięknych** w Pradze zgłosiło się do Warszawskiego Towarzystwa z prośbą, aby zachęcało naszych artystów: malarzy i rzeźbiarzy do wzięcia udziału w wystawie malarstwa i rzeźby, która zostanie otwartą w Pradze d. 15 Kwietnia z trwaniem po dzień 15 Czerwca. Wystawa czeskiego stowarzyszenia cieszy się sympatją swego ogółu i doznaje z jego strony dostatecznego poparcia. W roku ubiegłym zakup dzieł sztuki przyniósł przeszło 3.000 złr. reń.

— **Projekt pomnika dla Zyblikiewicza** został wykonany przez krakowskiego rzeźbiarza Chrośnińskiego: na bryle z granitu tatrzańkiego krzyż, także z granitu.

Podpisują w Krakowie petycją do seymu z żądaniem, aby pomnik ten stanął na mogile zasłużonego człowieka.

— **Wystawa powszechna** w Pradze, mająca się odbyć w 1891 r., otwarta dla wszystkich narodowości, ma przeciw za cel szczególny zgromadzenie plodów sztuki i przemysłu narodów słowiańskich. Komitet wystawy wykończył już jej plan. Każde większe miasto czeskie mieć będzie swoje pawilony, w których pomieści wyroby właściwych powiatów. Miejscem wystawy będzie Stromówka, piękny stary park, położony tuż pod Pragę. Niemcy czescy postanowili nie wziąć udziału w wystawie, co bynajmniej nie zaszczyli Czechów.

— **Czeska Akademia umiejętności** nosić będzie nazwę: *Akademia cesarza Franciszka Józefa* a dzielić się będzie na cztery klasy członków wedle przedmiotów naukowych.

Klasa I-a filozofii i nauk państwowych, prawniczo społecznych, historii i archeologii. Klasa II-a dla matematyki, nauk przyrodniczych, medycyny, i geografii. Klasa III-a dla języków żywych i martwych, szczególnie dla rozwoju języka czeskiego i jego literatury. Klasa IV dla czeskiej literatury nadobnej, dla sztuk pięknych i muzyki.

Akademia mieć będzie pięć kategorii członków: honorowych, zwyczajnych, nadzwyczajnych, członków korespondentów i członków zagranicznych. Będzie wydawała prace swych członków w zbiorowych publikacjach peryodycznych; będzie udzielała subwencji na prace naukowe wyższego znaczenia; będzie rozpisywała konkursy z nagrodami za najlepsze publikacje w zakresie prac naukowych; będzie udzielała stypendyów na podróże i prace naukowe.

Będzie również popierała sztuki piękne, będzie zaznajamiała naród ze znakomitemi postętami na polu nauki, literatury i sztuki narodów obcych. Będzie się zajmowała wyszukiwaniem i konserwacją dawnych pomników literatury i sztuki czeskiej. Budżetowa kommissya seymu czeskiego postanowiła poczynić odpowiednie kroki, aby Akademia mieściła się w gmachu Muzeum Narodowego, aż do czasu posiadania lokalu własnego.

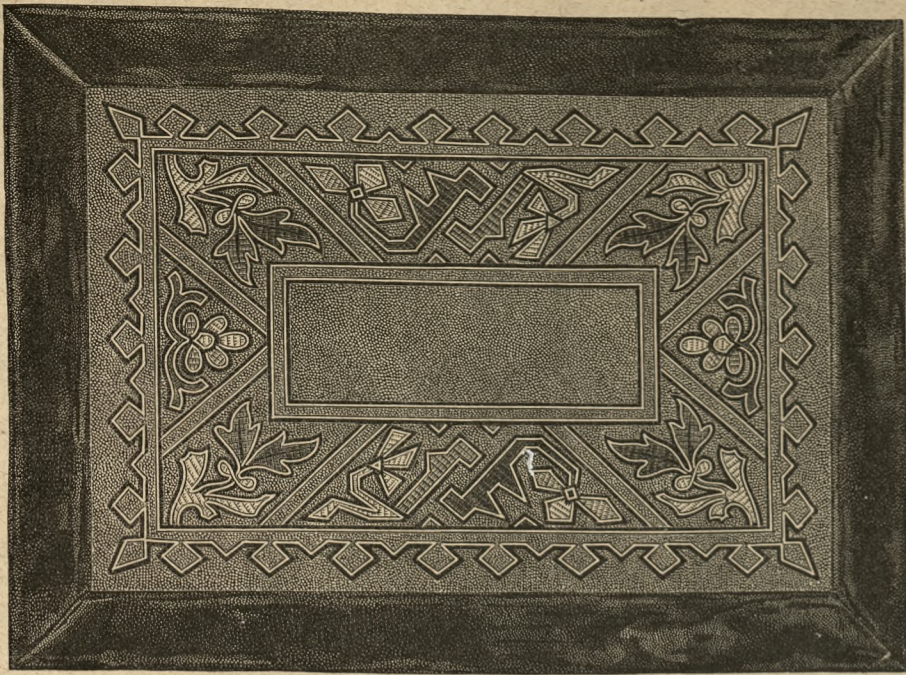
Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Odtrącony**, przez Reneusza Bazin.

TREŚĆ: Pogawędka. — Znachor, przez Maryą Rodziewiczównę. — Notatki pedagogiczne. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści, pod tytułem: **Odtrącony** przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**



Nr 1. Suknia z repsu jedwabnego ozdobiona haftem (do ryc. Nr 19).



Nr 2. Serwetka w stylu arabskim. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 69).
Opis w Bl. Nr 8.

Przegląd mód.

Hafty i złoto.—Sukienka dla młodej panny.—Wspomnienie karnawału, kostium krakowski niewidziany dotąd —Suknie powłóczyście, jak je robić i jak nosić będziemy.—Suknie rautowe z haftem białym u p. Makowskiego —Woalki.—Bransoletki oksydowane jako ciepłomierze stopnia miłości.—Czarne perły.

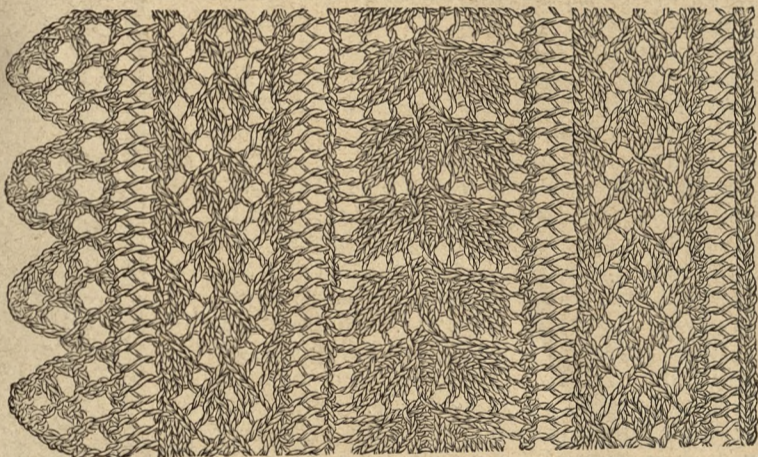
Hafty—hafty i jeszcze hafty! nigdy ich tyle nie noszono—co tylko się widzi jest haftowane, a choć

pendzel i farby olejne wzięły sobie za zadanie zastąpić haft, nigdy tej różnorodności zastąpić nie mogą.—Haft bywa z pereł —jedwabiu —peli —sutaszu —skóry, również haft ze stali—złota—srebra—miedzi i różnokolorowych kamieni; — to też haftarnia

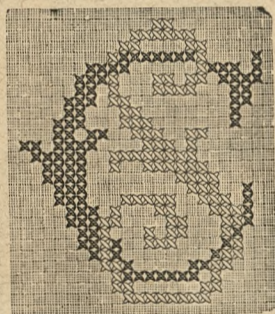
naszej panny Bobrowskiej zajmuje dziś mnóstwo pracownic i jeszcze obstarunkom nadażyć nie może. Paryż cały świeci się od złota i srebra, aby dowiesć wzdychającym nad brakiem tegoż, że jest i błyszczą nam w oczy — szkoda tylko, że chcąc mieć te nieprawdziwe okazy, trzeba mieć dużo prawdziwego złota, aby za nie zapłacić. — Śliczną sukienkę widzieliśmy dla pani Klaryssy (Mazowiecka 20). Cała spódniczka z jedwabnych wstążeczek 10 cent. szer., z obu stron z pikotowym brzegiem koloru blade-różowej malwy i tejsze szerokości złotej wszywki, podłożonej czyli

przyfastrygowanej na „surah“ koloru żółto-złocistego; w dole szeroka bardzo suto riusza, z wystrzępionego jedwabiu, z takiejże materii wycięty stanik, na który spada hiszpański krótki kaftanik, cały ze złotej koronki zrobiony. Rękawy całe z wstążeczek i złotej wszywki, zakończone u ręki złotą suto marszczoną koronką. We włosach i u piersi fiołki parmeńskie, a przyznać musimy, że z całej tualety wiała woń młodości i poezji.

Ze wspomnień karnawałowych notujemy tu piękny kostium krakowski pani Węg. na balu w ratuszu, a notujemy dla tego, aby go ktoś mógł kiedy naśladować bez wzoru; kostium był bardzo kosztowny, — spódniczka z pomarańczowego atłasu była trzy razy naszyta przerabianym złotem szlakiem, każdy na odmiennym tle—dolny na ponsowym—dalej na zielonym — najwyższy na niebieskim—z pod tych szlaków na aksamit tegoż co szlak koloru spadała złota frendzla, stanik ponsowy aksamitny cały, obrzeżony złotą torsadką—fartuszek tiulowy w gwiazdy ze stalowych dentych pereł — koszula z muslinu indyjskiego bez żadnych wyszyć, tylko nawleczona ponsową wstążeczką—na głowie kołpak z kwiatów, bardzo szeroką broszowaną złotem wstążką związany.—Tak bogatego kostiumu krakowskiego w życiu nie widziałam, był z pracowni pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próżnej, gdzieśmy w tych dniach widzieli śliczną suknię z pysznej wełny angielskiej bardzo lekko z przodu udrapowaną, a stanik od pasa niby cały zebrany na jeden guzik duży, leżący prawie na lewym ramieniu—dół sukni, stanik i rękawy naszyte pasmanterią, formy wieży Eifel. — Suknie noszą się stanowczo z małym trenem czyli powłóczyście, a tylny bryt występuje złożony od góry w fałdy w przedłużeniu niby tren — spódnica mniej więcej obcisła z jedną krótką stalką niewydatniającą się zupełnie, tylko lekko suknie podtrzymującą—w górze trzy kontrafałdy na szerokość 10 cent., ułożone tejsze długości z włosiennicy, co nie dozwalają zapadać się stanikowi.—w Paryżu suknie



Nr 4. Szlak wykonany na drutach.



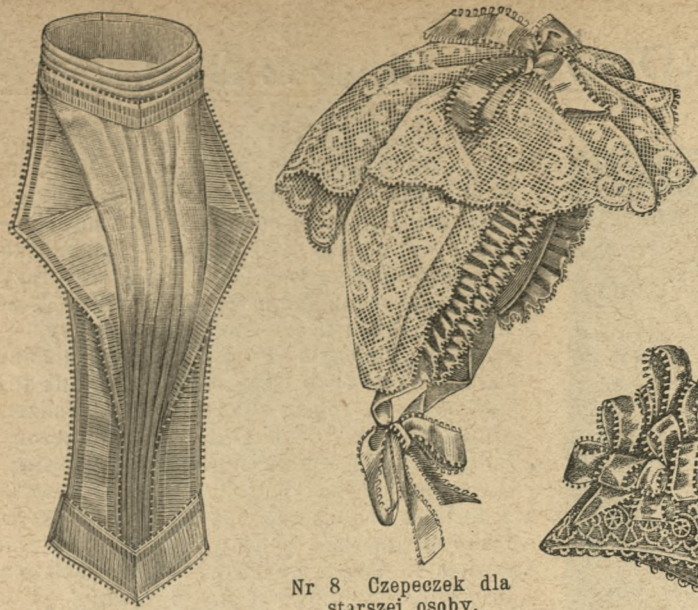
Nr 5. Znak haftowany.



Nr 3. Serwetka w stylu arabskim (do ryc. Nr 6). Opis w Bl. Nr 8.



Nr 6. Haft do serwetki Nr 3. Wielkość naturalna. (Opis w Bl. Nr 8).



Nr 8. Czepek dla starszej osoby.
Nr 12. Napierśnik z kołnierzykiem. (Opis w Bl. Nr 8).

powłóczyście unoszą panie w rękę — miejmy jednak nadzieję, że obmyślą paryżanki znowu coś wygodniejszego do podnoszenia modnych trendów. — Widzieliśmy u pana Makowskiego świeżo nadeszłe suknie rautowe bengalina z haftem białym grubym — w dole niby wieża Eifel — u niektórych w bryt przedni lub w boki wrabiany haft i stanik przybrany takimi haftem, a kolory, warzenie! naturalnie w jasnych kolorach, bo w męnie zawsze kolory najpiękniejsze.

Z paryżkich nowości są nowe woalki tiulowe o rzadkich sznelowych muszkach, ale tak rzadkich, że często jeden wypada na całą twarz na oko lub na usta — woalki te jednak nie przyjęły się przez damy dobrego towarzystwa, które zawsze noszą tylko czarne w drobny rzucik.

Za to w Paryżu są bardzo noszone bransoletki srebrne oksydowane do mierznięcia stopnia miłości ukochanej osoby. Widzieliśmy tę nowość sprowadzoną przez pana Żeliszewskiego jubilera, przy ulicy Miodowej róg Senatorskiej, jest tam w nich jakaś gałka ponsowa, którą się oznacza stopień miłości. Mój Boże! i na miłość jest dziś moda, bo dawniejsza którą nie mierzono,



Nr 9. Ubranie na głowę z koronki i aksamitnej wstążki.

Nr 15. Żabot z koronki i wstążki.

a pomimo to była gorąca — dziś nie jest w użyciu. — Za to perły czarne nigdy z mody nie wychodzą, bo widzieliśmy w tymże magazynie cudny garnitur — naszyjnik, brosza i kolczyki z czarnych pereł z brylantami — coś oryginalnie pięknego — ale też za piękne pieniądze! aż 2 tysiące rubli! — to nie dla nas! ale dla bogaczy tego świata.

L. C.

Suknia z jedwabnego repsu ozdobiona haftem.

Rycina Nr 1.

Spódnica z podszewki mająca dług. 106 cent. z przodu a 111 c. w tylnej części, 214 c. obwodu, pokryta w dolnym brzegu falbaneczką plisowaną 7 cent. szer. zaopatrzona muslinem do połowy wysokości, pokryta cała falbaną marszczoną z jedwabnego repsu koloru gołębiego. Stanik z tegoż materiału ułożony w fałdy podług ryciny i przyozdobiony szlakiem haftowanym. Rękawy bufiaste. Spódnica w części przedniej ozdobiona haftem, tylny bryt skrajany o 14 cent. dłużej, jak inne bryty, w górnej części zmarszczony w ściśle fałdki. Wstążka aksamitna 6 cent. szer. koloru oliwkowego wykończa całość.

Szlak (robota drutowa).

Rycina Nr 4.

Szlak, którego deseń składa się z 3 razem połączonych części i z koroneczki, wykonany w poprzek cienką drutową bawełną odpowiednimi stalowymi drutami. Rozpocząć na założeniu 48 o. 1 kolej: Oczko zebrać na drut, 2 o. zwyczajnie, drut owinać, 2 o. zebrać (na co należy zdjąć 1 o., następnie 2 razem przerobić zwyczajnie i przez te przeciągnąć o. zdjęte). Dr. owin., 2 o. zwy. dr. owin., (2 o. zwy. razem dróżką przerob.) * 1 o. zwy. dr. owin., 2 o. zwy. razem dróżką przerob., od * jeszcze raz powtórzyć; potem drut owin., 1 o. zwy., 2 o. zwy. razem dróżką przerob., 1 o. odwrotne, 2 o. zwy. razem dróżką przerob., 1 o. zwy., 1 o. odwr., 1 o. zwy., 2 o. zwy. razem dróżką przerob., 1 o. odwr., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zebrać na dr., dr. owin., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 razy dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., — 2 kolej: dr. owin., 1 o. zwy. z 2-ej nitki założenia 1 o. zwy. 1 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 3 o. odwr., 1 o. zwy., 2 razy na przemian 2 o. odwr., 1 o. zwy., potem 3 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy. — 3 kolej: 1 o. zebrać na dr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., dr. owin., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 razy na przemian: 1 o. odwr., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., potem 1 o. odwr., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., dr. owin., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 4 o. zwy. — 4 kolej: zebrać o. na drut, 3 o. zwy., 2 o. zwy. dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 4 o. odwr., 1 o. zwy., 2 razy na przemian: 1 o. odwr., 1 o. zwy., potem 4 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy., 2 o. zwy. zebrać, 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. zebrać, 2 o. zwy., dr. owin., 4 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., dr. owin., 3 o. zwy., dr. owin., 2 o. zebrać, 1 o. odwr., 2 o. zebrać, dr. owin., 3 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zebrać, dr. owin., 4 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 razy na przemian: 2 razy dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob. — 6 kolej: o. zebrać, 2 razy na przemian: 1 o. zwy. z następną 2-ej nitki założenia 1 o. zwy., 1 o. odwr., potem 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o.



Nr 7. Stanik z... (Opis w Bl. Nr 8).



Nr 17, 18. Płaszczki wiosenne z materiału wełnianego. (Krój i opis pierw. str. fig. 1-7).

odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 6 o. odwr., 1 o. zwy., 6 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy. — 7 kolej: o. zebrać na dr. 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., dr. owin., 3 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., dr. owin., 5 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. zebrać, dr. owin., 5 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. zwy. — 8 kolej: o. zebrać, 6 o. zwy., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 7 o. odwr., 2 o. zwy., dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., 1 o. zwy. Powtarzać ciągle na te wstawki szlaka 1 do 8 kolei, w następnych kolejach opiszemy tylko deseń koronki, na którą należy wykonać 12 kolei. — 9 kolej: Z następną 7 oczek poprzedniej kolei 3 razy na przemian: 2 razy dr. owin., 2 o. zwy. razem dróż. przerob., potem 1 o. zwy. — 10 kolej: 2 o. zwy., 2 razy na przemian z następną 2 nit. założenia 1 o. zwy., 1 o. odwr., 1 o. zwy., potem z następną nitką 1 o. zwy. 1 o. odwr. — 11 kolej: Z ostatnich 10 oczek poprzedniej kolei 10 o. zwy. przerob. — 12 kolej: 8 o. odcedzić, 1 o. zwy. Następnie powtarzać ciągle o. 1-ej do 12-ej kolei.

Czepek dla starszej osoby.

Rycina Nr 8.

Karczek z petynетки 35 cent. długi a 7 cent. szer., ścięty z przodu w żab, objąć żółtą wstążeczką i otoczyć brzeg przedni podwójną riaszką ze wstążki atlasowej tegoż koloru z brzegiem z pikotów. Następnie przybrać podług ryciny koronkę 13 cent. szer. Kokardy z wstążki atlasowej 4 cent. szer. wykończają całość.

Ubranie na głowę z koronki i wstążki aksamitnej.

Rycina Nr 9.

Karczek z petynетки 22 cent. długi a 13 cent. szer., ścięty wyżej od środka ku bokom, otoczony drucikiem i pokryty krepą koloru popielatego. Część przednia pokryta, karczek w części przedniej obszyty 1 1/2 cent. szer. wstążką niebieską aksamitną, wystającą po za brzeg 1/2 cent. i pokryty krepą popielatą haftowaną kolorowemi jedwabiami. Taką samą krepą stanowi denko. Pukle z wstążki wykończają całość.

Żabot z koronki i wstążki.

Rycina Nr 15.

Dwa końce jedwabnej wstążki koloru kości słoniowej, każdy 30 cent. długi. a 6 cent. szer., użyć jako podstawę do żabotu. Koronka haftowana 27 cent. szer. a 144 cent. długi, ułożona podług ryciny i przepinana różowemi atlasowemi kokardami. Oddzielnie dwa końce koronki 37 cent. długi a 20 cent. szer. wykończają część górną, Kołnierzyk ze wstążki koloru słoniowej kości, wyłożony w górnym brzegu na 2 cent. szer.

Czepek z haftowanej koronki i wstążki aksamitnej.

Rycina Nr 16.

Karczek z petynетки 33 cent. długi a 6 cent. szer., ścięty od środka ku bokom na 2 cent. szer. objąć drucikiem i wstążeczką, dolne rogi połączyć paskiem z petynетки 26 cent. długim a 2 cent. szer. Pokryć karczek gładko krepą haftowaną kolorowo. Ułożyć koronkę 8 cent. szer. podług ryciny. Przybrać wstążką różową aksamitną.

Suknia z sukna.

Rycina Nr 20.

Spódnica do ziemi wykonana z kamlotu, pokryta z przodu i z boków częścią marszczoną z sukna koloru piaskowego, część tylna składa się z falbany z tegoż sukna 30 cent. wysokości. Boki i tylna część pokryta cała fałdzisto spadającym sukniem. Przednią część stanika wykonać z podszewki, spiąć na hafteczki i pokryć sukniem w rodzaju bluzki, na co włożony jest szeroki pas z sukna. Następnie rodzaj krótkiego kaftanika. Duże guziki wykończają całość podług ryciny.

Szlak z narożnikiem do serwetek i t. p. Gipiura siatkowa.

Rycina Nr 31.

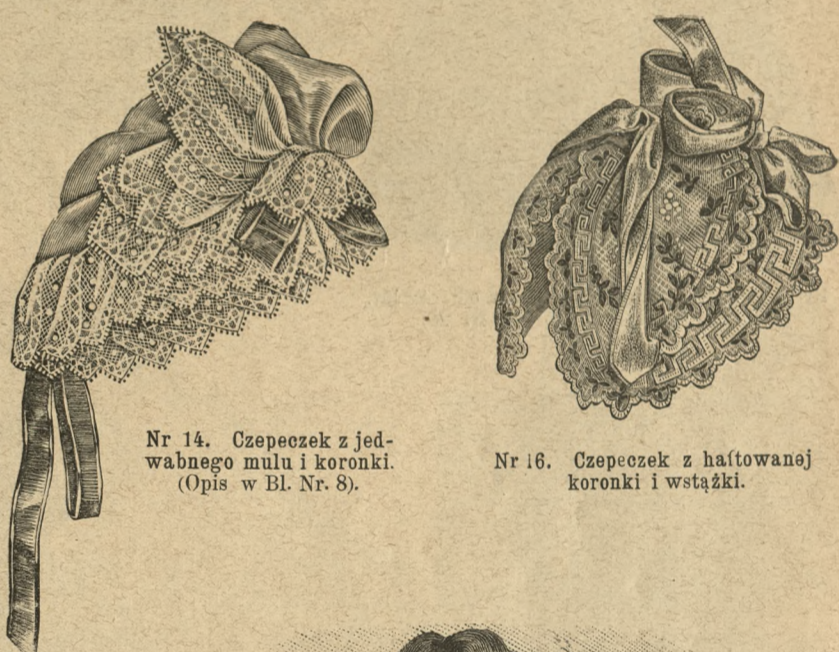
Wykonać średniej grubości niemi siatkę odpowiedniej wielkości i takową wypełniać następnie podług ryciny ścięciem: „point d'esprit,” cerowa-



Nr 10. Czepek z koronki i wstążki. (Opis w Bl. Nr 8).

Nr 13. Napierśnik z kołnierzykiem. (Opis w Bl. Nr 8).

Nr 11. Kokarda na głowę. (Opis w Bl. Nr 8).



Nr 14. Czepek z jedwabnego mulu i koronki. (Opis w Bl. Nr 8).

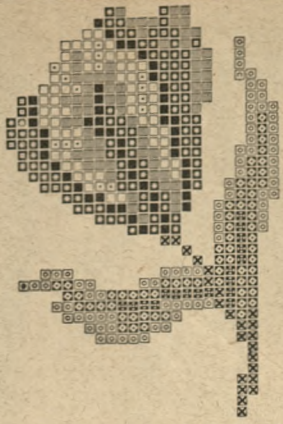
Nr 16. Czepek z haftowanej koronki i wstążki.



Nr 19. Suknia z jedwabnego repsu ozdobiona haftem (do ryc. Nr 1).



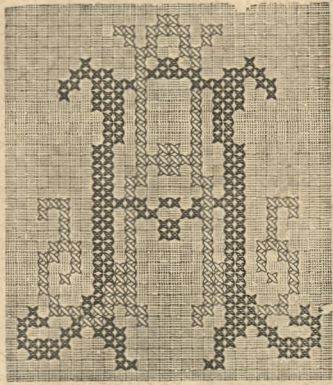
Nr 20. Suknia z sukna.



Nr 22. Figura aplikacji (robota krzyżowa).
■ 1-szy najciemniejszy, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty najjaśniejszy lilla, □ ciemno-żółty, □ jasno żółty, ■ 1-szy najciemniejszy, □ 2-gi i ■ 3-ci najjaśniejszy oliwkowy, * brązowy.



Nr 24 i 25. Spódniczka dla dziecka od 1—2 lat.
Robota szydełkowa (do ryc. Nr 26)



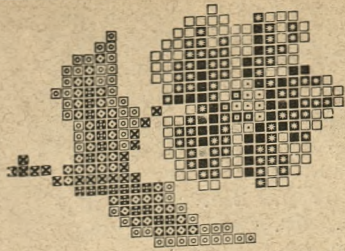
Nr 29. Znak haftowany.

nym i dzierganym. Brzeg zewnętrzny wykończyć dzierganymi ząbkami i wyciąć naokoło niezbędną siatkę.

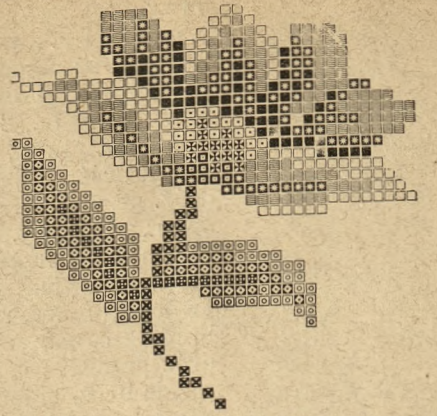
Przepisy gospodarskie.

Likier „Anisette de Bordeaux.”

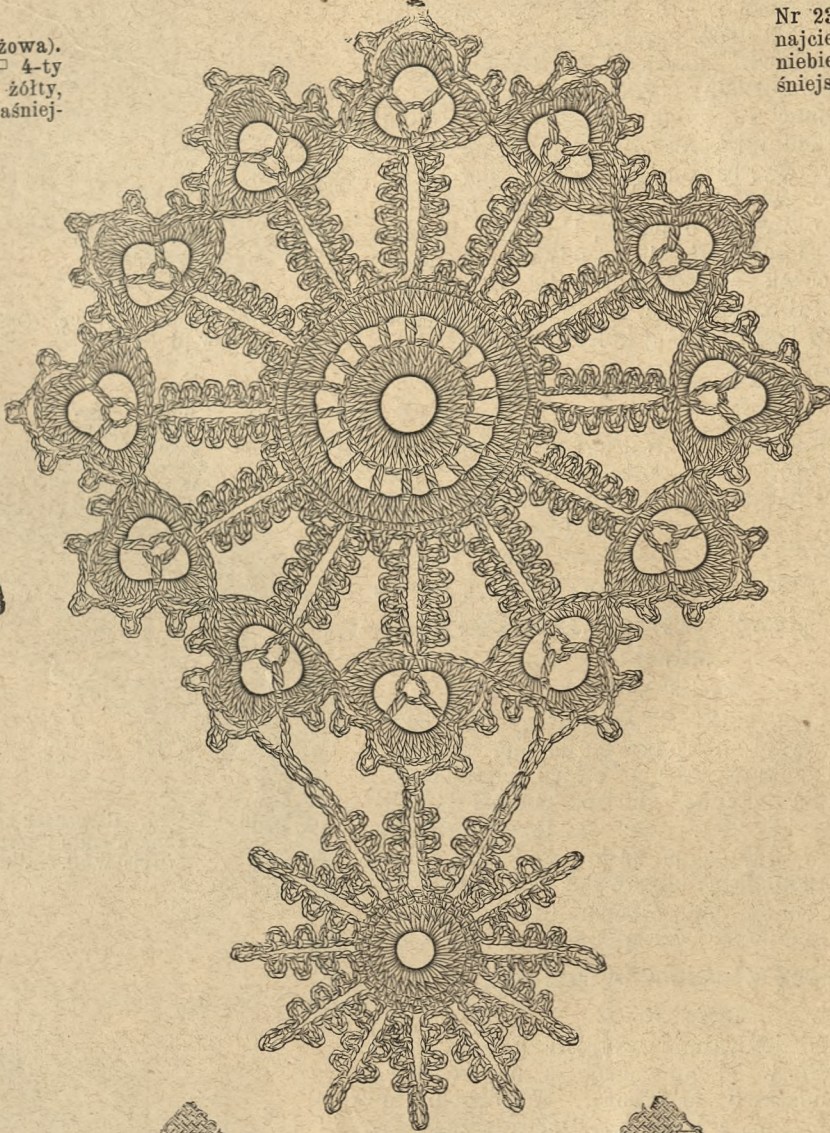
Jest zupełnie odrębny gatunek anyżu formy płaskich gwiazdek zwany badjanek, który używa się do likierów i wódek anyzowych. Otóż duże lub małe gwiazdki nalać kwaterką spirytusu najlepszego, a w drugiej kwatere namoczyć pół laski wanilii, po trzech dniach zrobić syrop z dwóch i pół funta cukru, biorąc szklanę wody na funt cukru — gdy się raz dobrze zagotuje, ma dosyć, przez długie gotowanie cukru likier następnie cukrzeje. Wziąć pół kwarty spirytusu, dolać do niej ową essencję z anyżu i wanilii, tak, że spirytusu będzie pełną kwarta, rozrabiać nim powoli syrop, póki gorący,



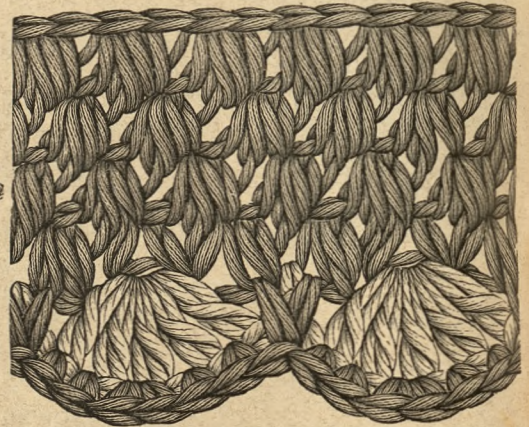
Nr 21. Figura aplikacji (robota krzyżowa). ■ 1-szy najciemniejszy, □ 2-gi i □ 3-ci najjaśniejszy ponsowy, □ ciemno-żółty, □ jasno-żółty, ■ 1-szy najciemniejszy, 2-gi i ■ 3-ci najjaśniejszy oliwkowy, * brązowy.



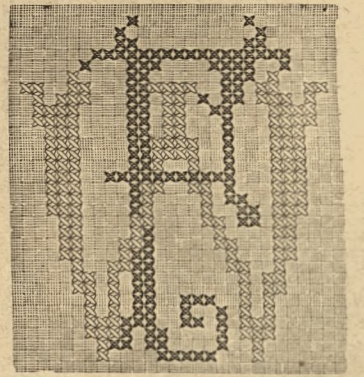
Nr 23. Figura aplikacji (robota krzyżowa). ■ 1-szy najciemniejszy, □ 2-gi, ■ trzeci i □ 4-ty najjaśniejszy niebieski, □ 1-szy najciemniejszy, ■ 2-gi i □ 3-ci najjaśniejszy brązowy, ■ 1-szy najciemniejszy, □ 2-gi i □ 3-ci najjaśniejszy oliwkowy, * brązowy.



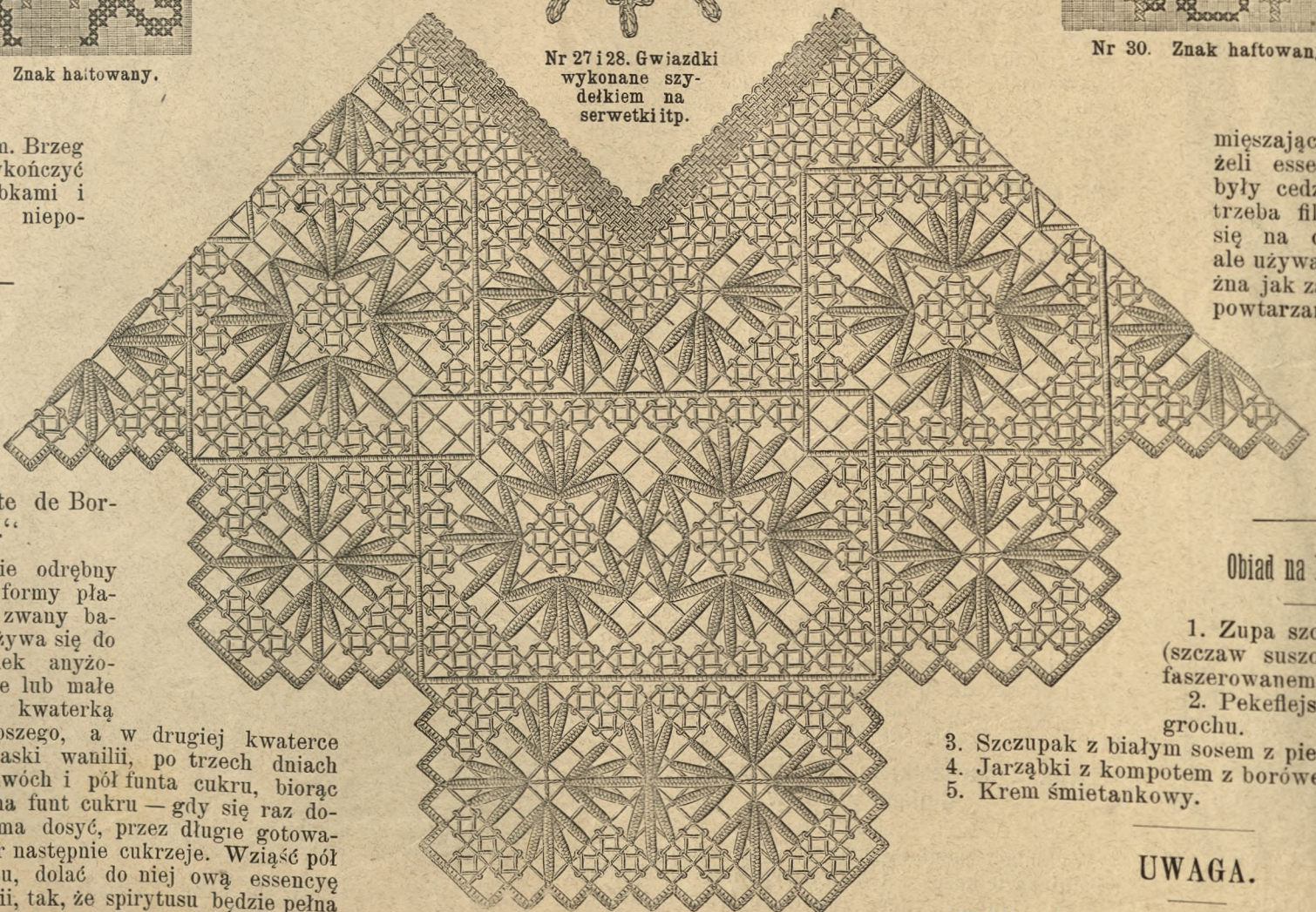
Nr 27 i 28. Gwiazdki wykonane szydełkiem na serwetki itp.



Nr 26. Dolna część spódniczki Nr 24 i 25.
Robota szydełkowa (wielkość naturalna).



Nr 30. Znak haftowany.



Nr 31. Szlak z narożnikiem na serwetkę. Gipiura siatkowa.

mieszając ciągle. Jeżeli essencje dobrze były cedzone, nie potrzeba filtrować, sam się na czysto ustoi, ale używać go nie można jak za 3 miesiące, powtarzam, najlepiej używać do likierów za miast krystalicznego cukru syropu cukrowego.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa (szczaw suszony) z jajami faszerowanymi.
2. Pekeflejsz „purée” z grochu.
3. Szczupak z białym sosem z pieczarkami.
4. Jarzabki z kompotem z borówek.
5. Krem śmietankowy.

UWAGA.

Tablica krojów dołączona do N. 8 Bluszczu, służy też do numeru dzisiejszego.